

P.10267



DWUTYGODNIK ILUSTROWANY

ROK III

1-15 LIPIEC 1939

Nr 11-12

DUCH i NERWY STOLICY

Warszawa, jako stolica Rzeczypospolitej, nie miała nigdy prawie spokojnego żywota. Nerwy jej mieszkańców często wystawiane były na ciężką próbę wytrzymałości, nieprzyjaciół nieraz widywała Warszawa wewnątrz swych murów, ulice Stolicy w przebiegu wypadków dziejowych często zbryzgane były krwią.

W r. 1655, gdy „potop” szwedzki zalał Polskę, Warszawa dostaje się w ręce Szwedów, potem staje się łupem Rakoczego. Trzydniowa bitwa wojska Jana Kazimierza ze Szwedami, która toczyła się pod Warszawą, nie dała jeszcze wolności Stolicy. Jak się zachowywali wówczas mieszkańcy Warszawy, nie wiemy, pewne jest natomiast, że stali się oni ofiarą grabieży zarówno Szwedów, jak i Rakoczego.

Po raz drugi Warszawa okupowana jest przez Szwedów w nieszczęsnym okresie Wojny Północnej (1700—1721).

Już w czasie toczącej się Wojny Północnej Rzeczpospolita i Warszawa zawarły „bliższą znajomość” z wojskami saskimi, które wprawdzie sprowadzone zostały przez króla polskiego Augusta, ale zachowywały się w Polsce jak w kraju nieprzyjacielskim. W zmiennych kolejach walk, jakie toczył Karol XII z Augustem i carem Piotrem, Warszawa w r. 1717 widzi po raz pierwszy w swych murach wojska moskiewskie i jest świadkiem „sejmu niemego”, który zgodził się na redukcję wojska Rzeczypospolitej do liczby 24.000, gdy małe naówczas Prusy miały 80 tysięczną armię. Warszawa jest odtąd świadkiem stopniowego, coraz głębszego upadku Rzeczypospolitej, Stolica „gości” w swych murach wojska „najjaśniejszej gwarantki” — Katarzyny II-ej.

Gdy jednak po pierwszym rozbiórze rozpoczął się ruch odrodzieńczy w Polsce, Warszawa staje się głównym jego ogniskiem, a w bohaterskim i zwycięskim porywie powstańczym pod wodzą Jana Kilińskiego lud stolicy wspólnie z wojskiem zdobywa wolność. Odtąd lud-

ność Warszawy staje się samodzielnym punktem czynnikiem i inicjatorem w walkach o niepodległość.

W powstaniu kościuszkowskim Warszawa jest punktem centralnym działań Naczelnika. Warszawa przeżywa oblężenie przez wojska moskiewskie i pruskie, dowodzone osobiście przez króla pruskiego Fryderyka Wilhelma II. W odparciu tego oblężenia zajaśniał talent wojenny Tadeusza Kościuszki, jak i ofiarność i męstwo mieszkańców Stolicy.

Ale już wkrótce po odstąpieniu nieprzyjaciół od oblężenia, Warszawa przeżywa tragiczną wieść o klęsce pod Maciejowicami, o wzięciu do niewoli Tadeusza Kościuszki.

Rozszerzonymi rozpaczą żrenicami patrzy Warszawa na lunę pożaru, niszczącego jej przedmieście Pragę, zdobytą przez Moskali pod wodzą Suworowa, po przez zrumienioną krew Wisłę dolatują rozpaczliwe krzyki wyrzynanych w pień mieszkańców. Może widać z Warszawy drobne ciała niemowląt podnoszonych na pikach kozackich i rzucanych w buchające płomienie płonących domostw Pragi.

17 listopada 1794 r. Warszawa kapitułuje. Na mocy traktatów trzeciego rozbioru Polski z r. 1795 Warszawa dostaje się pod panowanie pruskie, przeżywa okres germanizacji, który jednak nie trwa długo. Z ziemi włoskiej dolatują do Warszawy echa pieśni Legionów „Jeszcze Polska nie zginęła”. Wschodząca gwiazda Napoleona budzi nadzieje w Stolicy.

Bitwa pod Jeną i Auerstaedt, w której cesarz Napoleon pogromił Prusaków, położyła kres ich panowaniu w Warszawie. Francuzi wkraczają do Warszawy (koniec listopada 1806 roku), Ks. Józef Poniatowski staje na czele Dyrektoriatu Wojny rodzącego się Księstwa Warszawskiego, które stać się ma bazą dla odzyskania niepodległości Polski.

Ale już w r. 1809 Warszawa znowu przeżywa tragiczną chwilę.

Po dzielnym powstrzymaniu nacierającego na Warszawę korpusu austriackiego ks. Ferdynanda w bitwie pod Raszynem, ks. Józef Poniatowski nie jest jednak w możności obronić Stolicy. Uchodzi z Warszawy wraz z wojskiem na prawy brzeg Wisły, wycofując się niemal chyłkiem, wśród sarkania i przekleństw mieszkańców Stolicy. Nie orientują się oni w genialnym posunięciu Wodza Polskiego. Austriacy — trzeci już zaborca, którego widzi w swych murach Stolica Polski — po zajęciu Warszawy, znajduje się w potrzasku; ks. Józef Poniatowski odbiera Austrii Sandomierz, Lublin, Kraków. Ludność Warszawy traktuje Austriaków z niechęcią i pogardą, zdając sobie sprawę z krótkotrwałości ich panowania, a ks. Ferdynand uchodzi z Warszawy, która na mocy pokoju w Schönbrunn staje się stolicą znacznie rozszerzonego zdobyczą oręża ks. Józefa Poniatowskiego — księstwa warszawskiego.

Rok 1812-ty budzi nadzieje odbudowania Polski w granicach przedrozbiorowych. Zwołany do Warszawy Sejm, zawiązawszy się pod laską sędziwego ks. Adama Czartoryskiego w konfederację wzywa rodaków z zaboru rosyjskiego, by przystąpili do konfederacji i rzucili jarzmo niewoli moskiewskiej.

Warszawa przeżywa wielkie nadzieje, gości Napoleona i świetnych przedstawicieli jego niezwyciężonej dotychczas armii.

Ale już zimą 1812 roku Napoleon, który uszedł z Rosji niemal samotnie, grzeje się, przed kominkiem Hotelu Angielskiego w Warszawie.

Stolica ze szczytu górnych nadziei i marzeń pogrąża się znowu w otchłań mrocznej niepewności, a potem — rozpacz.

Dochodzi do Warszawy wieść o śmierci bohaterkiej w nurtach Elstery tego, który umiał pozyskać serce Warszawy po długich latach niechęci i nieufności — ks. Józefa Poniatowskiego.

Warszawa przeżywa tragizm upadku „boga wojny” i związanych z nim nadziei na odzyskanie niepodległości.

Kongres wiedeński nie może jednak zniszczyć całkowicie tworu państwowego, który powstał z ofiarnej krwi, legionistów napoleońskich i żołnierzy Księstwa Warszawskiego.

Warszawa staje się stolicą Królestwa Polskiego, połączonego unią personalną z Rosją. Kongres Wiedeński zagwarantował Królestwu Polskiemu osobną Konstytucję, Sejm, Wojsko.

Mieszkańcy Warszawy podziwiają świetne musztry Wojska Polskiego na Placu Saskim i... szaleńcze wybryki okrucieństwa W. Księcia Konstantego.

W mrokach spisku podchorążych dojrzewa nowy etap walki o niepodległość. Wybuch powstania listopadowego zastaje Warszawę moralnie nieprzygotowaną, bierną. Wkrótce jednak w Warszawie rozszerzają się ogniska myśli i uczuć rewolucyjnych, które starają się nadać powstaniu charakter walki narodowej, gdy generałowie chcą ją zredukować do czysto wojskowej rozgrywki.

Stolica słyszy odgłos bitwy pod Grochowem, burzy się i niecierpliwi ją kunktatorstwo wodzów. „Ulica” Warszawy zyskuje wpływ na rząd, na kwaterę wojskową. Ale Warszawa nie jest w stanie wyłonić Wodza. Powstanie upada pomimo bohaterstwa żołnierza polskiego, w którego szeregach szczególną brawurą i męstwem odznacza się pułk 4-ty, rekrutowany w Stolicy.

Rankiem 8 września 1831 roku Moskale wkroczyli do Warszawy.

Nastąpiła 30-letnia ponura noc rządów mikołajewskich, które niszczą wszelkie odrębności Królestwa Polskiego i coraz wyraźniej wkraczają na drogę rusyfikacji kraju.

Rok 1863. Powstanie styczniowe.

Warszawa jest moralną stolicą całej Polski, nadaje ton całemu krajowi. Śpiewy patriotyczne w kościołach, manifestacje uliczne, żałoba narodowa, zamachy na dygnitarzy rosyjskich, egzaltacja uczuciowa społeczeństwa — wszystko to jest dziełem Warszawy i jej mieszkańców.

Warszawa jest siedzibą tajnego Rządu Narodowego, karność i zwartość społeczeństwa Stolicy pozwala temu Rządowi rozwijać działalność, której sprężystość budzi podziw, zdumienie i trwogę we wrogach. Po upadku powstania styczniowego — znowu długa noc niewoli i okrutnych katuszy.

Ale pierwsze odruchy budzącego się z letargu ducha narodowego dają się odczuć znowu

w Warszawie (manifestacja w stoletnią rocznicę Konstytucji 3-go Maja). Zaludniają się więzienia warszawskie „przestępcami politycznymi”, przeważnie młodzieżą akademicką.

W r. 1905/6 wznowiona jest walka orężna z najeźdźcą. Na arenę walki występuje nowy bojownik wolności — robotnik polski. Walki toczą się na ulicach. Grzmiały strzały rewolwerowe, huki bomb zamachowców. Ulica Warszawy krwawi. Nie było jednak w tych czasach wypadku, by przechodnie przypadkowi, świadkowie zamachów stanęli kiedykolwiek po stronie policji i wojska moskiewskiego, by okazali im pomoc. Warszawa dostarcza coraz nowych kadr rewolucjonistów, których odwaga, pomysłowość i determinacja budzi podziw rosyjskich „towarzyszów”.

Ale rewolucja w Rosji jest zbyt słaba, upaść więc musi i w Warszawie.

W szeregach bojowników polskich budzi się myśl o konieczności odrodzenia Żołnierza Polskiego i samodzielnego polskiego czynu orężnego w zbliżających się europejskich wypadkach. Rok 1914-ty — wybuch Wielkiej Wojny.

W opinii Warszawy wre walka „orientacji”.

Warszawa obojętnie przysłuchuje się hukowi dział, które wczesną jesienią 1914 roku dochodzą od strony Piaseczna, Błonia, Pruszkowa, od lasów Sekocińskich.

Walczą ze sobą dwaj zaborcy, gęsto kładą się trupy moskiewskie i pruskie — na przedpolach Warszawy. Stolica jest spokojna, ale — obojętna, Warszawa czuje, że chodzi narazie tylko o zmianę okupantów. Godzina wolności jeszcze nie wybiła.

5 sierpnia 1915 roku Warszawa widzi nowych okupantów — Niemców. Jest zimna, obojętna. Postawa Stolicy i całego społeczeństwa jest taka, że zmusza Niemców do ogłoszenia obłudnej zapowiedzi utworzenia quasi niepodległej Polski.

Warszawa przyjmuje tę zapowiedź z dumnym lekceważeniem. Wie, że chodzi okupantom o rekruta, o krew polską na ich użytek i pokarm zaborczych apetytów. Wyrósł już autorytet Józefa Piłsudskiego, który pragnie stworzyć polską siłę zbrojną na użytek Polski — nie zaś okupantów. Magdeburg, Beniaminów, Szczypiorna pouczają Warszawę i Polskę o istocie idei legionów Piłsudskiego.

11 listopada 1918 roku Warszawa jest nareszcie stolicą niepodległej Polski, Józef Piłsudski — Naczelnikiem Państwa. Z podziemi wyrasta Armia Polska, polski miecz wyrębuje granice na wschodzie i północy.

Krótko jednak trwa upojenie wolnością.

13 sierpnia ludność Warszawy wsłuchuje się w huk armat, dolatujący od Modlina, od Radzymina.

Ludność Stolicy jest spokojna, choć wie, że czeka ją los straszliwy, jeśli wrogowi uda się wtargnąć w jej mury.

Warszawa nie zna oczywiście genialnego planu Józefa Piłsudskiego — uderzenia nad Wieprzem i błyskawicznej ofensywy pod wodzą Rydza-Śmigłego.

Ale zdrowy instynkt narodowy każe ludności Stolicy zachować godność i spokój, nie ulegać panice, pełnić obowiązki, jakie nakazuje sytuacja.

Wróg jest odparty, zwycięski oręż polski wykreśla obszerne granice Państwa na Wschodzie i Północy.

W czasie kryzysu wewnętrznego w maju 1926 roku ludność Warszawy instynktownie staje po stronie Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Już po Jego zgonie dwukrotnie przeżywa Stolica kryzys wojenny, tzw. litewski i śląski.

W momentach tych postawa Stolicy pełna jest entuzjastycznej gotowości, a zarazem — spokojna i godna.

Dziś Stolica Polski stoi znowu w obliczu wypadków, które grożą rozpętnaniem straszliwej burzy dziejowej.

Warszawa, wie, że w burzy tej Polska nie będzie neutralnym widzem, ale — pierwszoplanowym uczestnikiem, że oręż polski znowu powołany jest do decydowania o losach świata.

Stolica Polski wie i rozumie, że wypadnie Jej stawić czoło pierwszym gromom nadciągającej burzy i postawą swą dać przykład całemu krajowi.

Warszawa przygotowuje się do odparcia zakusów wroga, ale zachowuje całkowity spokój ducha i opanowanie nerwów.

Już dzisiaj mamy pewność zupełną, że Stolica Polski stanie na wysokości trudnego zadania, które Ją oczekuje, w pełnej ufności, że bez względu na zmienność losów zapasów orężnych, bez względu na ciężkie i krwawe ofiary, jakie wypadnie nam ponieść, wyjdziemy z nich zwycięsko, a Warszawa będzie w niedalekiej przyszłości Stolicą rozszerzonego w swych granicach, bezpiecznej i potężnej Polski.

Dzieje Warszawy pełne są przeżyć, tragicznych, ale i bohaterskich. Ta przeszłość wytworzyła atmosferę moralną, która ogarnia mieszkańców Stolicy i pozwala im ze spokojem ducha i nerwów patrzeć w oblicze przyszłości, zaś w potrzebie — zdobyć się na bohaterskie czyny.

HENRYK RADOCKI

Warszawa u progu C. O. P.

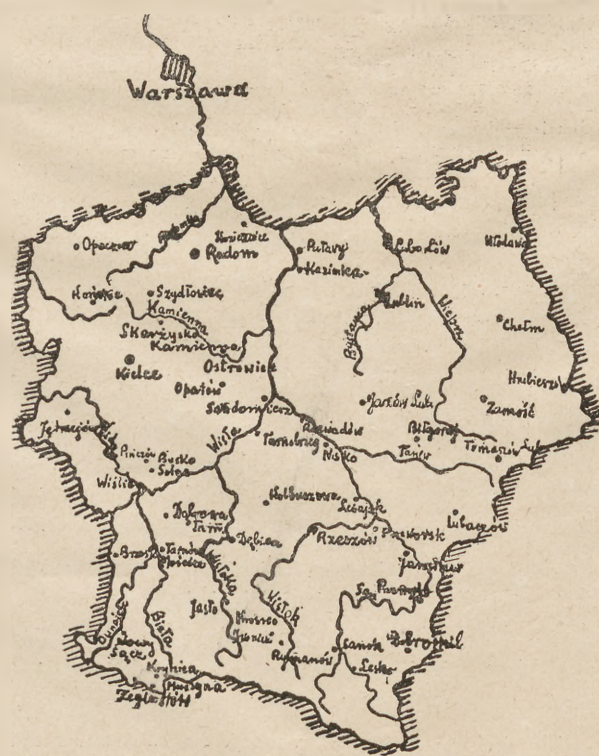
Mniej niż 50 km od granic Wielkiej Warszawy rozciąga się C.O.P. Nieco ponad 160 km od stolicy leży centrum C.O.P.-u, staropolski Sandomierz, dziś awansujący na nowoczesną stolicę przemysłową Rzeczypospolitej.

Wisła prowadzi przez Sandomierz i Warszawę ku Bałtykowi — części Wisły górnej z Sanem tworzą wspaniały naturalny węzeł hydrograficzny C.O.P.

Teren C.O.P., to blisko szósta część Polski, to szmat ziemi większy niż niektóre znaczne, suwerenne państwa zachodnio-europejskie, władające koloniami, zasobne i potężne. Centralny Okręg Przemysłowy, stanowiąc prawie 60 tysięcy kilometrów kwadratowych (59.935) jest większy dwukrotnie od Belgii, przewyższa obszarem Danię, Holandię, Szwajcarię.

Obejmując części województw: łódzkiego, kieleckiego, lubelskiego, krakowskiego i łowoskiego — łącznie 46 powiatów — ciągnie się C.O.P. od Karpat, na wschód od źródeł Dunajca i na zachód od źródeł Sanu, od samej granicy południowej Państwa, sięgając na północ, aż do linii ujść Pilicy i Wieprza, zamykając się terytorialnie w pięciokacie wielkich miast:

Krakowa, Łodzi — od zachodu, Lwowa i Brześcia — od wschodu i Warszawy — od północy.



Centralny Okręg Przemysłowy.

Na każdych 100 mieszkańców Polski 18 mieszka w C.O.P.-ie, żyjąc po 104 ludzi na jednym kilometrze kwadratowym w wielkiej masie ponad 6 milionów, rosnącej w tempie szybszym, niż jeden człowiek na 1 kilometr kwadratowy rocznie.

Centralny Okręg Przemysłowy ma zapewnić nam chleb i broń. Jest początkiem wielkiej gospodarczej przebudowy typu ustroju Polski z rolniczego na agrarno-przemysłowy, to jest taki, który przy maksymalnej samowystarczalności aprowizacyjnej i przetwórczej, zatrudniłby wszystkie wolne ręce, pochłaniając i wciągając do wymiany, do obrotu wszystkich zdolnych do pracy. C.O.P. jest równocześnie także rozszerzeniem, tzw. „trójkąta bezpieczeństwa”, jest tworzeniem potężnej, wszechstronnej, samodzielnej bazy, jakby zaplecza gospodarczego, zabezpieczającego podstawy dla armii operacyjnej i walczącego narodu.

C.O.P. jest jakby miniaturą samowystarczalnego „państwa w Państwie”, ośrodkiem w przyszłości mogącym samodzielnie i całkowicie zaspakajać potrzeby niezbędne całości, gdyby krańce objęte były pożarem. C.O.P. jest też

pierwowzorem i początkiem planowego zagospodarowania Polski w sposób celowy i nowoczesny.

Centralny Okręg Przemysłowy ma właściwe położenie strategiczne, odpowiednie położenie ekonomiczne w stosunku do reszty Państwa, dobrą sytuację komunikacyjną oraz niemal samowystarczalność: energetyczną — w rejonie sandomierskim: siły wodne, gaz ziemny, ropa naftowa; surowcową — w rejonie kieleckim: żelaziaki, piryty, drzewo, gliny, kamień; aprowizacyjną — w rejonie lubelskim: rolniczo-hodowlany.

Powstanie kolosalnego Okręgu przemysłowego w niewielkiej odległości od Warszawy ma również wielkie znaczenie dla stolicy.

Przed wszystkim więc niezdrowa tendencja koncentracji w samej Warszawie lub w jej pobliżu przemysłów częściowo uniezależnionych od surowców i źródeł energetycznych zostanie poważnie osłabiona przez celowe grupowanie na terenie C.O.P.-u. 41 grup przemysłu i 19 grup rzemiosł pomocniczych dla przemysłu fabrycznego, które uzyskują potężną zachętę w ogromnych ulgach fiskalnych przyznanych przedsiębiorstwom nowopowstającym lub powiększonym na terenie okręgu.

Rozwój przemysłowy olbrzymiej polaci kraju, ogromna intensyfikacja gospodarki przemysłowej, a także rolnej — zwiększy chłonność tego obszaru, da nowe możliwości zatrudnienia, co również wpłynie na zmniejszenie tempa napływu bezrobotnych, szukających zatrudnienia, ku miastom, a zwłaszcza ku Warszawie, jako metropolii.

Powstanie nowego centrum wielkoprzemysłowego o niezwykłych możliwościach rozwojowych wzmoże potencjał gospodarczy Warszawy, która mimo, że leży u wrót C.O.P., a nie na jego terenie, pozostanie „centralą central” dyspozycyjnych Okręgu, jeżeli nie technicznych to gospodarczo-finansowych. Wielkie obroty, transakcje i wymiany, jeżeli nie bezpośrednio to pośrednio będą przechodziły przez Warszawę. Gdy dodamy do tego, że każdy

okręg przemysłowy wytwarza własną strefę promieniowania ekonomicznego wynoszącą od 100—150 km i zważymy, że Warszawa leży w promieniu tylko 50 km od C.O.P., a jako stolica ma dodatkowe walory atrakcyjne — nie trudno przewidzieć dodatni wpływ C.O.P. na miasto.

Jednocześnie Warszawa, stolica polityczna, wielkie centrum kulturalne, handlowe — zostanie odciążona od ciśnienia ekonomicznego, jakiemu uległa wobec faktu, że Okręgi przemysłowe dotychczasowe, jak śląski, łódzki, białostocki, położone ekscentrycznie nie były w stanie stworzyć właściwych warunków odpowiadających coraz intensywniejszej potrzebie uprzemysłowienia kraju, a nowe warsztaty i przedsiębiorstwa niezaradnie i niepotrzebnie — przy braku planowości — miały tendencję opierania się o ośrodki miejskie, ze stolicą na czele.

C.O.P., który ostatecznie potężną klamrą od środka spina ziemię polską, zaciera odrębność trzech obcych systemów gospodarczych i komunikacyjnych — przesuwając także gospodarcze linie komunikacyjne.

Zaniedbana Wisła w nowym systemie komunikacyjnym staje się węzłową arterią naszego systemu wodnego. Cel główny zbliżenia Zagłębia Węglowego do C.O.P.-u, a Sandomierza do Bałtyku, w drugim etapie: Sandomierz — Gdańsk obejmuje Warszawę, która jako port wiślany dopiero przy tym ujęciu nabierze pełnego znaczenia.

Także szlak kolejowy Warszawa—Radom, długości 103 km, zbudowany w 1934 roku, teraz dopiero zyska pełną wydajność, przy czym wszystkie linie główne między stolicą, a C.O.P.-em, a więc: z Warszawy przez Radom — Kielce na Kraków, Miechów, z Warszawy na Dęblin — Lublin w kierunku na Chełm, Kowel, Sarny, albo na Rozwadow, Przemysł, Lwów — ożywią się.

W przyszłości projektuje się wyłączenie linii towarowo-tranzycyjnych z węzła warszawskiego, co z jednej strony skróci drogę, a więc i cenę przewozu towarów, z drugiej zaś usprawni

ni ruch kolejowy na węźle przelotowym warszawskim.

Z robót drogowo-komunikacyjnych przewidziane jest w związku z potrzebą ulepszenia komunikacji motorowej budowa nawierzchni ulepszonej na trasie: Warszawa — Radom — Kielce — Kraków oraz droga: Warszawa — Lublin — Lwów.

Elektryfikacja Okręgu, wobec wyzyskania sił wodnych w szerszej skali niż to miało miejsce dotychczas, uruchomienie linii bardzo wysokiego napięcia (150 tys. V) na trasie Mościce — Starachowice — Warszawa, zwiększy dla Stolicy w sposób znaczny możliwości korzystania z tego źródła energii.

Warszawa nie miała nigdy aspiracji wielkoprzemysłowych, mimo, że w drugiej połowie XVIII w. obok powstających okręgów przemysłowych śląskiego i łódzkiego powstaje zaczątek ośrodka przemysłowego warszawskiego. Jest to raczej wpływ warunków politycznych, niż ekonomicznych.

Warszawa przez swe położenie predystynowana jest na stolicę polityczną Polski — a z roli tej wywiązuje się odpowiednio. Skupiając dziś centra polityczne, kulturalne, ekonomiczne nie pretenduje Warszawa do roli stolicy przemysłowej kraju i nie będzie patrzyła z żalem czy zazdrością, gdy Sandomierz ubiegnie Łódź i Katowice. Nie oznacza to, by Warszawa miała deindustrializować się — jako wielkie miasto wszechstronnie rozwinięte pozostanie ona nadal ważnym ośrodkiem szeregu przemysłów i rzemiosł (z wyłączeniem przemysłu ciężkiego) — ale ten charakter przemysłowy jest raczej typu lokalnego i o zbyt lokalny w znacznej części opiera się.

Polska nie jest, jak np. Bułgaria, krajem typu rolniczego i obok C.O.P. musi posiadać wiele mniejszych ośrodków przemysłowych.

Przemysłowa, ale nie wielkoprzemysłowa Warszawa u progu C.O.P., od którego dzieli ją minuty lotu nowoczesnym samolotem — to wyraz tej dobroczynnej przemiany, która dokonywa się wysiłkiem pokolenia w naszym gospodarstwie narodowym.

JAN KEMPF

Warszawa w obliczu nadchodzących wydarzeń

Zaszczytna rola Stolicy Rzeczypospolitej, nakłada na Warszawę szczególne obowiązki wobec całego kraju. Promieniowanie kulturą i sztuką wobec swoich w czasie pokoju, oraz reprezentacja Polski wobec obcych, oto główne jednak nie wyczerpujące przykłady tych zadań, jakie wynikają ze stołecznego charakteru Warszawy.

Obowiązki względem swych mieszkańców i troska o zaspokojenie najszerzej pomyślanych ich potrzeb gospodarczych, zdrowotnych i kulturalnych, oto druga rozległa dziedzina obowiązków.

Obok tych, z ustaw niejako wynikających zadań, istnieje jednak jeszcze jedna żadnymi pisanymi normami nieobjęta dziedzina, dla której zakres zadań kreśli poczucie odpowiedzialności istniejące wśród wszystkich mieszkańców Stolicy, za godną reprezentację honoru i dumy narodowej Polaków, tak w czasie pokoju jak i wojny.

Trudno doszukać się rodowodu, tego mocno zapadłego w dusze mieszkańców naszego miasta, poczucia odpowiedzialności. Jedno jest pewne, poczucie to istniało już wówczas, gdy słońce wolności poczynało tracić swe blaski i gasnąć na wiek cały nad Rzeczpospolitą.

W okresie niewoli nie ustanowione ambasadorstwo spraw i godności narodu, wobec całego świata objęła Warszawa. Po wielekroć razy dawali synowie Warszawy świadectwo, iż dźwiganie tego ciężaru całkowicie są godni.

Trzy powstania narodowe, do których pobudka zabrzmiała tutaj w murach Warszawy, dobrze zapisały jej imię w historii walk wyzwoleniczych narodu.

Ginąca w 1794 roku garść żołnierzy — warszawiaków, na czele z pułkownikiem Kilińskim, której huraganowy ogień dział rosyjskich, bił salut śmiertelnego pożegnania, broniła szanów Pragi, dopóki nie zamarło rażone kulą wroga, serce ostatniego obrońcy. Brawura czwartaków, którzy na świat cały rozślawili imię polskiego bagnetu, na cześć których naczelnym wodzem nieprzyjacielskiego wojska, porwany ich bezprzykładnym męstwem, ciskał w górę swój stosowany kapelusz i tyle, tyle innych bohaterskich czynów dzieci Warszawy, że wspomnieć tylko śmierć na stokach Cyta- deli w r. 1863 członków Rządu Narodowego, oto wymowne świadectwo, iż w sercach ludności naszego grodu żył i żyje jakiś jeden wspólny duch, który sprawia, że pierwsze miasto Rzeczypospolitej — pracą, krwią i ofiarą swych synów, dążyć będzie zawsze do wypełnienia swych wielkich zadań i utrzymania, oraz pomnożenia, swej wielkiej żołnierskiej tradycji.

Idą chwile, które być może żądać będą od nas, wysiłku, hartu i ofiarności — nie mniej- szej od tej, jaką niegdyś wykazywali nasi ojcowie. Niechże tutaj w Warszawie ugruntuje się i spłynie na cały kraj, niezłomna wola pracy i walki o to, aby jeśli wróg narzuci nam wojnę, osiągnąć w niej pełnię zwycięstwa.

Szumiały nam niegdyś w przeszłości fale Bałtyku, na szerokiej przestrzeni brzegu morską, od ujścia Odry — hen aż poza ujście Niemna.

Dzisiaj, gdy wróg chce zacisnąć swą rękę na naszej tchawicy w Gdańsku, by nas zdławić, niechaj umocni się w nas niezłomna wola walki,

gdy tego zajdzie potrzeba, o taki dostęp do morza, abyśmy pełną piersią przyłgnąć mogli, do bursztynowego brzegu, słowiańskiego przed wiekami Bałtyku.

Naród nasz śmiało patrząc w przyszłość, zdecydowany nieugięcie kroczyć po drodze zdobycia sobie w świecie mocarstwowego stanowiska, piersiami swych obrońców powstrzyma każdą burzę u granic Ojczyzny.

Nie braknie nam nigdy entuzjazmu i bohaterstwa, gdy trzeba będzie wystąpić przeciw wrogom. Nie wolno nam jednak zapomnieć o charakterze dzisiejszej wojny, którą wygrywa się nie tylko ofiarą, lecz również wielką pracą i zdecydowaną postawą całego społeczeństwa.

Praca nasza już dzisiaj tak wzrosnąć musi w swym tempie i wydajności, aby osłabiona liczebnie obsada naszych warsztatów pracy w czasie wojny, utrzymała ich wydajność — na poziomie w żadnym razie nie niższym od obecnego. Z nadwyżek dóbr uzyskanych wskutek podniesienia wydajności pracy naszych rąk, powstanie żelazna rezerwa pogotowia wojennego, niemniej konieczna i ważna — od zasobów złota, którego tak wiele pochłania wojna.

Harmonijnego wzrostu wydajności pracy zwłaszcza w instytucjach publicznych, nie mogą dziś obciążać żadne animozje i walka stron dającej i biorącej pracę. W stosunkach wzajemnych tych stron, zapanować musi dobra wiara i poczucie wspólności interesu, w skutecznym pokojowym załatwianiu każdego sporu i każdej kwestii.

W obliczu przyszłej wojny, gdy na Gminę stołeczną spadną nowe wielkie zadania i obo-

wiązki, wobec jej mieszkańców i całego kraju, stąd — ze Stolicy promieniować musi na całą Polskę nieugięta wola walki o pełne zwycięstwo, oraz przykład ogromnego systematycznego wysiłku, do jakiego naród Polski podnieść swą pracę w obliczu wojny.

W łonie struktury organizacyjnej i zadań Samorządu, nastąpią wówczas niewątpliwie poważne przegrupowania. Powstaną nowe działy służby, takie jak aprowizacja ludności, oraz współdziałanie z władzami wojskowymi w niesieniu pomocy chorym i rannym. Inne natomiast działy służby zmuszone będą, rozszerzyć

znacznie zasięg swego działania. Koniecznym również się stanie ujęcie w karby celowo i jednolicie kierowanych zadań, poczynając organizację i instytucje społecznych, na barki których w czasie wojny spadnie wiele nowych i ciężkich obowiązków. Rolę koordynatora i przewodnika tej działalności, wziąć będzie musiał w swe ręce Samorząd.

Trzeba, aby już dzisiaj ogół pracowników miejskich uświadomił sobie ogrom zadań, jakie czekają Gminę stołeczną w obliczu wojny.

Ostatnia jest po temu chwila, aby jednostki i zespoły pracownicze, przestawiły swe działa-

nie na tory takiej pracy, która w chwili rozszerzenia zakresu działania Gminy, spowodowanego wejściem Państwa w okres wojenny, znajdzie nas przygotowanymi do nowej zmiennej sytuacji i zadań.

Wielokrotnie wypróbowany patriotyzm i poczucie obywatelskie pracowników miejskich Warszawy, — wierzyć każą, iż Związki i Zrzeszenia Pracownicze, które podejmą trud przygotowania nas do pracy w warunkach wojennych, spotkają się z gorącą aprobatą ogółu pracowniczego.

AURA WYLEŻYŃSKA

Między dolną a górną Warszawą

Wszyscy znają Paryż, jeśli nie de visu, to z opisów, kina, marzeń.

Widzą, iż to jest miasto, o którym Heine powiedział, że można tu nawet nie być szczęśliwym. Tak różnorodne, ciekawe każdemu daje wrażenia. Czym dla mieszkańca stolic, stolica świata, tym dla ludzi z głębokiej prowincji musi być Warszawa. Poza oficjalnym oświetleniem, posiada ona wiele aspektów, poza notowanym, jako typowy charakterem, wiele odrębności dzielnicowych i urywków bardzo indywidualnych. Chciałam odsłonić widok na jeden z zakątków, który wkrótce zniknie w obecnej formie, gdyż ma być powołany do większej roli. Z zakrętu dróg stanie się pierwszorzędną arterią komunikacyjną. Chodzi o ulicę Karową. Właściwie zatrzymam się na pewnej jej części, która koncentruje się w wielkiej kamienicy, stojącej jakoby na pograniczu między dolną a górną Warszawą, arka przymierza między małym a wielkim miastem. Aleja na Szkarpie pomyślana jest frontem do Wisły, ten zaś kwadrat jak Światowid ma oczy otwarte na cztery strony. Wypadem moich obserwacji będzie południowy bok szarego bastionu, którego płaski dach najeżony iglicami. Jeszcze nie spętany wspólnym akcentem jednej strzelistej anteny, jak głosi ostatni nakaz urbanistyczny.

Patrząc w zamknięty w ramie okiennej sztych miasta, i chwytam jego życie. W ten sposób najlepiej łączy się nigdy niestarzejąca prawda — fikcja łatwo ulega przedawnieniu.

Wokoło jest bardzo pięknie. Przy pierwszym widzeniu mimowoli wydobywa się z ust najwyższa dla każdej miejscowości pochwała: chciałbym tu mieszkać! Jakkolwiek wiele osób uważa, iż miasto nie jest od „poetycznych widoków“.

Dymna zasłona powietrza, gra pejzażem. Czasem mnoga zieloność wsiąka w mgłę. Z oddali jedno drzewo z uniwersyteckiego ogrodu, — przed wiekami stała tam Villa Rex, — dopóki nie opadną ostatnie liście — pozostanie dla krótkowidza złudzeniem południa, palmą, wiejącą długimi kiściami. Brak tylko daktyli.

Tak wygląda zmienna flora, tło kamiennych dzieł. Wiotka ostoja wiekowych murów. Gmachy Krakowskiego Przedmieścia rysują się od tyłów, boków, żadnej całości, jedynie złomy, wśród wierzchołków drzew lub w przestrzeni zagubione podstawy a ujawnione nadbudowy. Nieraz blade profile lub trois quarts. Bez widocznego jest oparcia na wschód patrząc absyda Karmelitów, uwieńczona ułamkiem spątnowanego dachu, trójkąt przyczółka starego pałacu jednym końcem wisi w powietrzu, dalej obronny zrab św. Anny i gniazdo wież Zamkowych. Z poza nich, nie z za horyzontu, wypływają chmury. Na drugim zaś krańcu nieba, bez pnia wyrastają szczytowe strzały kościoła św. Krzyża.

Górna Warszawa z dolną na moim odcinku połączone są dwojako: zapomocą ślimaka i schodami. Ślimakiem idą ci, którym się nie spieszy, lub których serce nieumiejętnie się spieszy. Schody to probierz młodości tętna.

Rozwijają one obyczajowe tej dzielnicy ciekawostki. Przed 8-mą rano na ich szarzyźnie sunie korowód białych nieduchów obu płci. „Pracownicy umysłowi“ są przeźorni, nie wiedząc jaką pogodę dzień przyniesie biorą nieprzemakalne płaszcze. W jednostajnie rytmiczne ich posunięcia wpadają dzieci pędzące do szkół. Dzień cały trwa exodus z dołu w górę — do roboty, dla zabawy, w celu zabicia nudy, która jest nieuleczalną pod każdym stopniem geograficznym, a tymbardziej na każdej płaszczynie miasta. Zniechęceni łatwo się zdradzają. Obojętnie omijają wagę, przekupkę z cwocami, handlarza książek. Cóż może obchodzić wędrowną bibliotekę! Tym bardziej ślepy grajak, wyciągający ze skrzypiec obfite ły. Triumfem jego jest słoneczny, świąteczny poranek, gdy na tle orkiestry dzwonów kościelnych tkliwa nuta rozbiega się na wsze strony, uderzając w ubogie portmonetki.

Czego ludzie nie dźwigają na głowach i w rękach! Karawany tłumoków wędrują na pozór bez celu. Ten starzec niesie kwadrat dykty. Powoli wznosi się pod przygodnym parasolem, ciężar choć lekki, ale niewygodny. Na jego widok bogaci a głupi mówią: „prości ludzie tacy są chciwi“. A cóż może zarobić? „najwyżej ćwiartkę chleba“. Jakaś babinka w łachmanach skoncentrowała cały swój dobytek w myśl zasady jednego z siedmiu mędrców Grecji: Omnia mecum porto.

W naglej ciszy nocnej wyraźnie słyszę każdy zapóźniony krok. Na drewnianych klawiszach nogi wystukują własną melodię. Podkreślając kontrast między dwoma światami. Projektowany most im. Józefa Piłsudskiego łagodnie spłynie po zboczach, niwelując kontrast odrębnych części miasta.

Ruch na schodach jest przejrzysty i wyraźny, natomiast ślimak w błąd wprowadza. Wrażenia tego doznałam, gdy po raz pierwszy spojrzalam z wysokości trzeciego piętra. Wiecej, nawet gdy kolistą trasą szłam na Krakowskie Przedmieście. Nie orientowałam się czy dobrą obrałam drogę, czy jak potrzeba wszystko koło mnie się dzieje. Esownica gubi jasność linii, biegnie przed siebie, to znów skręca. Samochód zbliża się czy oddala? Za chwilę zjawi się po lewej czy po prawej stronie? Tylko niezmiennie stoi posąg Syreny z podniesionym mieczem, aktualny w dniach wiszącej nad nami wojny.

Podstawa ślimaka zakrawa na twierdzą. O tym zapomniawszy przyszyli sportowcy zielone jego stoki traktują jako treningowe pole. Zawsze sentymentalne dziewczątka zbierają na nich wiatle kwiatki, wijąc równianki z wielkomięjskich dmuchawców. Dla mnie drzewa obrzeżające jezdnię na równym z oknem poziomie grają rolę wiszących ogrodów.

Poza tym lokalnym zużytkowaniem ślimaka odbywa się na nim nieustająca ruchoma wystawa pojazdów. Demonstrowane są tu wszystkie środki komunikacyjne i przewozowe. Zarówno zdobyczne najnowszej techniki, jak zażytki przeszłości, urągając dzisiejszym czasem

pojawiają się na tym terenie potrójną ilość razy kreśląc skomplikowaną drogę. W dniach wyborów na otwartej platformie megafony próbowały rozgłosu, w Tygodniu Warszawy defilował odrestaurowany dyliżans, powolnym tempem dawnych lat. Ciągną wózki polskie riksze, jedzie chłopka na rowerze, tak zrecznie przed sobą popycha pudło, jak grubas nosi swój brzuszec. Powiększona puszcza Sidolu bierze udział w rewii firm Wedla, Centra i Schichta. Poczta, potworny zielony skarabeusz owinięty czerwoną przepaską, krzyżuje się z pompatycznie sunącą, srebrem bramowaną karocą. Wóznica nosi strój z operowej epoki, konie zdobne są w pióropusze. Inne są wozy pogrzebowe, zmotoryzowane, skromne i dyskretne. Przypominają słowa Hamleta, jeszcze w przekładzie Paszkowskiego: „O niczym sam przez się ten oczom widzialny, Czarnej żałoby strój konwencjonalny“.

Wózki dzieciinne przeróżnej marki lekko się toczą, rodzime perszerony ciągną ciężarówki czasem zdemotoryzowane. Zdjęto opony, zastępując je kołami. Kopyta mocno wybijają cztery takty, w niczym nie przypominając dowolnego tańca dorożkarskich koni. W wieczornej dobie wśród nich chyżo przemknie prawdziwa melodia, w głębi samochodu ukryta piosenka, która pod znakiem czerwonego ognika zygzakuje po zawilej spadzistości spirali, nie zmieniając swego tchnienia, choć podległa prawom nowej propagandy sztuki.

Tylko indywidualne latarnie, nawet w zmechanizowanym świecie, nie umieją się zapalić we wspólnym momencie — jedno światło od drugiego dzieli krótkie mrugnięcie powiek.

A teraz oderwawszy oczy od dotychczasowego punktu obserwacyjnego ostatni rzut w dół i górę. Krakowskie Przedmieście wdziera się blaskiem reklam, gdy na Powiślu, w facjatce, płoną lampy naftowe. Tam dorasta moja mała bohaterka, Tereska. W tej chwili dla mnie realna, jak niegdyś dla Płomykowych czytelników, którzy chcieli robić składkę na rzecz sierotki... Ileż chałupek dzieli rzekę od Alei na Szkarpie! Dopiero nad samą Wisłą ciągnie się Wybrzeże Kościuszkowskie, z nowoczesnymi budowlami, bulwary, zrealizowany projekt marzyciela Wokulskiego.

Dwa prądy powietrzne, ostrzejszy ale czystszy, z ładniejszym, lecz przesyconym miazmatami stolicy, krzyżują się nad schodami, przy ujściu ślimaka w bieżnię, tworząc Plac Wiatrów. Jedną jego granicę stanowi gmach Towarzystwa Higienicznego, niegdyś wspaniały pomysł architektoniczny, umiejętnie wyzyskujący okągłość narożnika ulicy. W przeciwną zaś stronę chluby przeszłości wznoszą kamienice, już dostosowaną do wymagań przyszedłego mostu. W cieniu Wielkiej Rewii ukrywa się miejskie biuro totalizatora, puszczające w ruch różowe i białe kartki, na których gra się z zamkniętymi oczyma. Dalekie wyścigi kuszą ludzi do prób złamania złego losu, są atutem w walce nadziei z oszczędnością. Także sprzedają tu obwarzanki. Na znak, że Fortuna kołem się toczy...

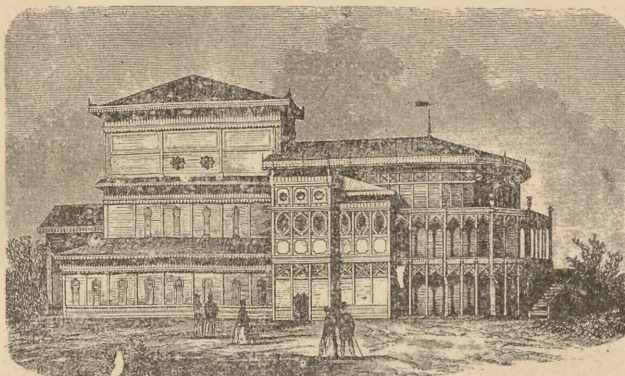
TEOFIL TRZCIŃSKI

70-lecie Teatru Letniego

Ukryty w cieniu stuletnich drzew, tyle razy już skazywany na rozbiórkę i zawsze jakoś w ostatniej chwili ocalony od zagłady, Teatr Letni w Ogrodzie Saskim, przypominał się teraz stolicy jako jubilat. Dnia 14 lipca rozpoczęcie 70-ty rok życia. Dożył tak poważnego wieku niejako ukradkiem, przez zapomnienie. Zresztą powstanie swoje i dalsze istnienie zawdzięczał w dużej mierze przypadkowi, co było nawet uwidocznione w jego tytule, który w pierwszym roku brzmiał na afiszach: „Tymczasowy Teatr Letni“. Zbudowano go jako zastępczą siedzibę dla opery i dramatu na kilka miesięcy letnich, ponieważ Teatr Wielki, rozpoczęty jeszcze przed Powstaniem Listopadowym i budowany przez blisko osiem lat, okazał się z wielu względów niewygodnym i wymagał koniecznej przebudowy.

Rosyjska dyrekcja teatrów rządowych miała przytym jeszcze drugi cel na oku. Zarówno Teatr Wielki jak Rozmaitości, oświetlane gazem, nie posiadały urządzeń wentylacyjnych, które zresztą na całym świecie były wtedy prawie nieznanne. Z nastaniem pory letniej, atmosfera w obu teatrach stawała się duszna nie do zniesienia, wskutek czego i frekwencja spadała katastrofalnie. Tymczasem rok rocznie na wiosnę powstawały w licznych ogrodach śródmiejskich teatrzyki ogródkowe, w których tylko scena była pod dachem, podczas gdy publiczność siedziała na krzesłach pod drzewami, nieraz przy stolikach. Teatrzyki te, prowadzone przez różnych przedsiębiorców z prowincji, miały czasem poziom zupełnie przyzwo-

po zaadaptowaniu gmachu do grywania w nim przez cały rok. Wtedy, ze sali wychodziło się nie na zamknięty korytarz, lecz na otwarte galerie, otaczające salę dookoła. Nadto wewnętrzne ściany sali urządzone były jako ruchome żaluzje, zamykane porą deszczową, a rozchyla-



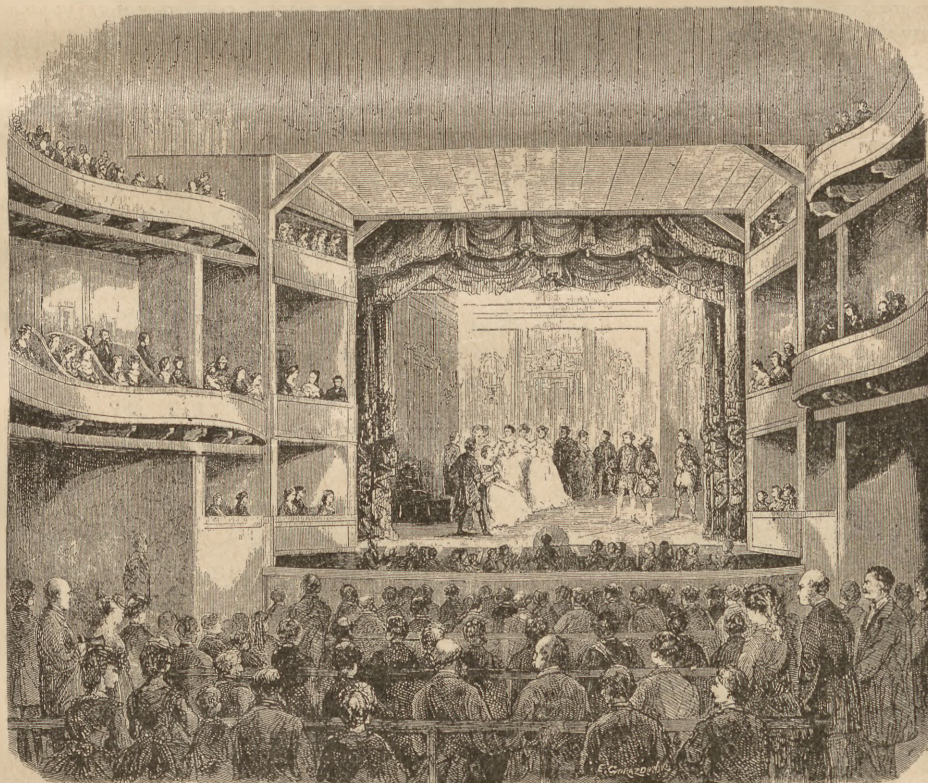
Teatr Letni tak jak wyglądał po skończeniu budowy w lipcu 1870 r. (współczesny drzeworyt).

ne przy pięknej pogodzie. Ślady tego urządzenia widoczne są jeszcze teraz, gdy żaluzje są już raz na zawsze zamknięte, a funkcjonowanie tego systemu obserwować można dotąd w oknach garderób artystów. Sala, jakkolwiek wydawała się znacznie mniejsza niż w Teatrze Wielkim, mieściła tę samą liczbę widzów, dzięki głębokim i obszernym galeriom na I i II piętrze. Do budowy użyto najtwardszych gatunków drzewa. Koszt wystawienia teatru, wraz z urządzeniem sali i sceny, wyniósł 60.000 rubli.

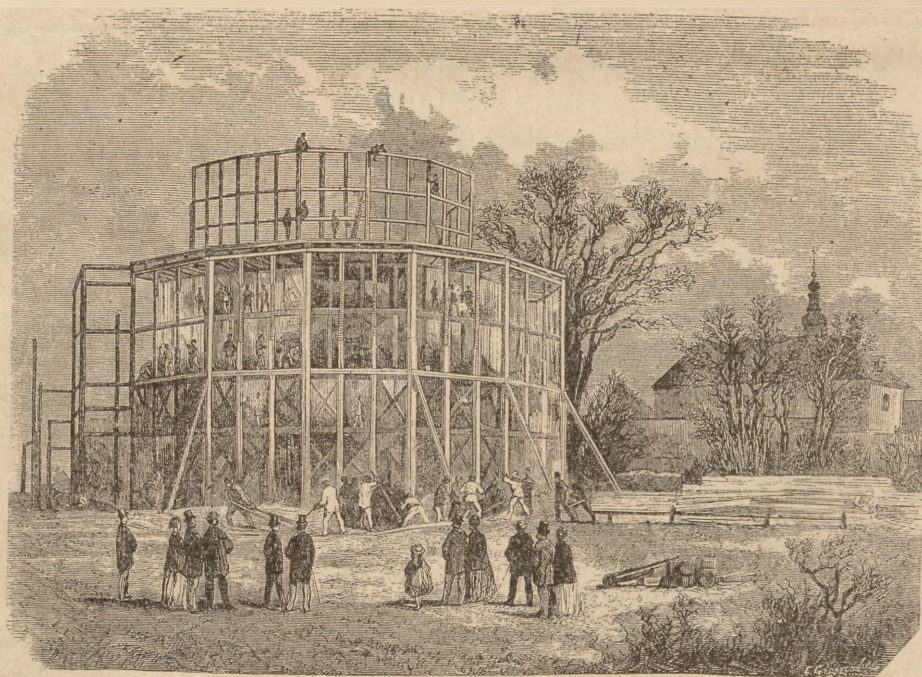
wieczór stały pod znakiem szczególnej atrakcji, gdyż wystąpił w nich po raz pierwszy po dłuższej chorobie, genialny komik Alojzy Żółkowski w komediach Korzeniowskiego „Majster i czeladnik“ i Bayarda „Przebudzenie się lwa“. Szóstego wieczoru dano operę „Violetta“. Sezon pierwszy, uwieńczony nadzwyczajnym powodzeniem kasowym, zakończył się w niedzielę, dnia 2 października. Wszystkie znakomitości aktorskie ówczesne z Modrzejewską, Królikowskim i Żółkowskim na czele i wszystkie gwiazdy śpiewacze opery warszawskiej przesunęły się w tych niespełna trzech miesiącach przez scenę letnią.

Dalsza historia Teatru Letniego da się opowiedzieć krótko: szczęście sprzyjało mu wierne nadal, stał się ulubionym teatrem Warszawy. Z biegiem lat zapomniano o pierwotnej „tymczasowości“, przeciwnie, zaczęto przemyślać nad tym, jakby teatr przystosować do grywania w nim przez cały rok. Po trzydziestu mniej więcej latach od otwarcia i ten pomysł stał się rzeczywistością. Ucierpiał wprawdzie przez to zewnętrzny wygląd teatru, wskutek wypełnienia drewnianymi ścianami otwartych luków galerii zewnętrznych, ale za to Warszawa zyskała nową jednostkę teatralną, czynną latem i zimą.

Obecnie po siedemdziesięciu latach służby, jest ten teatr jedną z osobliwości Warszawy, osobliwości, której — wbrew wszystkiemu co się powszechnie mówi — stolica nie ma powodu się wstydzić. Nawet cudzoziemcy — o ile



Wnętrze sali Teatru Letniego podczas przedstawienia opery „Violetta“ (współczesny drzeworyt).



Teatr Letni w czasie budowy w końcu kwietnia 1870 roku (wedle współczesnego drzeworytu).

ity, ale na ogół zerowały na dość niskich instynktach zabawy i cieszyły się ogromnym powodzeniem. Szło tedy o zrobienie próby, czy w teatrze na pół otwartym (bo taki miał być nowy teatr w Saskim Ogrodzie) poważniejsza sztuka przyciągnęłaby latem publiczność czy też nie, a tym samym o podcięcie niepożądanego konkurencji scen ogródkowych. Dlatego Teatr Letni, po spełnieniu swego tymczasowego zadania, miał pozostać jeszcze przy życiu przez parę lat, do czasu zamortyzowania kosztów budowy, poczem ewentualnie miał być rozebrany.

Budowę w Saskim Ogrodzie rozpoczęto z początkiem marca 1870 r. Plany teatru sporządził i prowadził budowę znany warszawski architekt, Aleksander Zabierzowski. Zewnętrzny wygląd teatru był wtedy inny, niż jest dzisiaj,

Otwarcie teatru odbyło się w czwartek, dnia 14 lipca i stało się dla Warszawy zdarzeniem niebyłym. W przeddzień już donosił „Kurier Warszawski“: „Od rana afisze różowe ogłaszają otwarcie tymczasowego Teatru Letniego. W tej chwili pod kasą teatrów ścisk tak wielki, że cały przedsiónek zapelniony i mnóstwo wychekujących stoi pod filarami. Ci, którzy zdołali zakupić bilety, wychodzą z tłoku, jakby z łaźni parowej, z kroplami potu na czole“.

Na inauguracyjne przedstawienie dano głośną podówczas nowość: „Piękną Helenę“, która zresztą już w zimie weszła na repertuar Teatru Wielkiego. Na drugie przedstawienie wybrano „Wdowę niepokieszoną“ i „Ulicznika warszawskiego“. Trzeci spektakl wypełnił znowu Offenbach: śpiewano „Sinobrodego“. Czwarty i piąty

idzie o ludzi z poczuciem piękna rzeczy starych a oryginalnych — dziwią mu się bardzo. Parzyżanom przypomina stare zakurzone i brudne sale teatralne w stolicy świata, w których tworzono jednak świetne widowiska, Wiedeńczykom przywodzi na myśl Arenę w Badenie pod Wiedniem, gdzie też gnieździł się w lecie doskonały teatr; wielki angielski reformator teatru Gordon Craigh powiedział w rozmowie z Leonem Schillerem, że dla niego jest to obok Teatru Wielkiego najciekawsza budowla teatralna w Polsce. Obiektywnie biorąc, jest to w każdym razie jeden z nielicznych już w Europie zabytków drewnianego budownictwa teatralnego. Jako taki, powinien być otoczony taką samą opieką, jakiej doznaje każde stare drzewo i każdy stary kamień.

NIE DAMY SIĘ ODEPCHNĄĆ OD BAŁTYKU!

TADEUSZ CIEŚLEWSKI JUN.

Prace mistrzów i prace uczniów

Jest kilka smakowitych stronic w „Jaszczurze” Balzaka, poświęconych wędrowce bohatera powieści, Rafaela, skroś bric-a-brac, gdzieś na quai parsyjskim w pobliżu Pont des Arts. One to właśnie przypominają się żywo na widok wystawy „Martwej Natury” w Muzeum Narodowym w Warszawie.



Wprawdzie magazyn starożytności na quai Voltaire, w którym Rafael Balzakowski nabył swój talizman, pełen był jedynie dzieł rąk ludzkich, a na wystawie oglądamy przeważnie kwiaty i jadalne, wszakże przenika je wspólnota wewnętrzna — człowieczego zaciekawienia i nie mniej człowieczej potrzeby utrwalania.

To wszystko, czego można dotknąć, czego można poznać najbardziej — bezpośredni urok, urodę, krasę i powab, rzeczy barwne, lśniąco szorstkie, gładkie, przezroczyste, misterne w kształcie, złożone albo zwieszające się, to co znamy przez zapach i smak — oto zakres tematów malarstwa, który francuzi określają wyrazami „nature morte” (martwa natura) zaś Niemcy „stilleben” (dosłownie ciche, spokojne życie). Kwiaty, owoce, trofea myśliwskie, jarzyny, przedmioty ludzką ręką zrobione, oto ściśle określony temat obrazów, jakie na specjalnej wystawie zgromadził dr Michał Walicki w obrębie gmachu Muzeum Narodowego w Warszawie.

Jeżeli chodzi o urządzenie wystawy, to trzeba obydwoma rękami wypisać słowa pochwalnej wdzięczności, za jej ożywienie, przez obecność mebli, tkanin i naczyń odpowiadających charakterem temu, co widz ogląda w malowidłach rozmieszczonych na ścianach. Dzięki tym monumentalnym szafom i sekreteterom pełnym uroku, dzięki dywanom i miedzianym, albo fajansowym naczyniom, wystawa zyskuje na sensie estetycznym, przestając być składem. I nawet czerwony chodnik na klinkierowej posadzce i efekty świetlno-kolorystyczne perspektywy sal wystawowych stają się, razem z obrazami na ścianach, także jakby obrazem — kiedy się stoi chwilę nieruchomo i nikt z ludzi nie



porusza się w sali, stoi się jakby wobec malowidła i wedle czyjegoś wyrażenia „sen jawą, coś jawa snem się staje”.

Ale oto malowidła same. Patrzymy w ich barwne powierzchnie i wyobraźnia nasza pracuje. Mową malarskiej magii wieczyste trwają wszystkie przedstawione na płótnach i deskach znikomości.

I nawet kompozycje pod tytułem „Vanitas” nieznanego malarza niemieckiego z końca XVII wieku przeczy sama swej własnej sceptyczności. Jakże to — skoro coś, co zostało namalowane w roku 1694 możemy oglądać w roku 1939, to złudą jest złudność przemijania, o ile się posiada magię utrwalania. I właśnie, poza portretem, to co zwiemy malarstwem „martwej natury” nasuwa szczególnie przekonująco poczucie wartości utrwalania — może dlatego, że wszystko co rośnie, co kwitnie, co jest owocem, co dla człowieka jest jego jadalnym, że to wszystko przecież w swej biologicznej rzeczywistości jest niemal efemerydą. Bo cóż drzewa, człowiek, ten jednak trwa. Szczególniej powiedzmy dęby, czy lipy, a także sosny — a więc rówieśnicy obrazów. Ale te wszystkie kwiaty, jarzyny i ryby, czy ptactwo zabite, napoczęte owoce, to wszystko jest chwilą, poza obrębem sztuki. Zamknięte wszakże w czarodziejskim jej kręgu trwa odtąd, docierając od ludzi do ludzi poprzez otchłanie czasu.

I z jaką ostrością widzialności docierają te malowidła do naszych oczu. Wzjeramy się w nie z nieubłaganą ściślością.

Pasja autentyzmu, żeby się posłużyć modnym słowem, malarzy utrwalających farbami to co natura stworzyła z tkanki roślinnej, czy zwierzęcej, ta pasja była tak niepohamowana, że chwilami niemal demoniczna.

Przypatrzenie się dobrze, mówią obrazy dokładnie, temu zakresowi rzeczywistości, poznając jego wygląd z całą precyzją widzenia — zobaczcie jak wygląda to co wam smakuje, co nęci wasze powonienie.

Wgląd w błędnie najintensywniejszych szczegółów tego zakresu rzeczywistością jest wielu artystów, których malowidła oglądamy na omawianej wystawie, niesamowicie przenikliwi, tak dalece, że z pospolitej codzienności wydobywa efekty niepokojące i tajemnicze.

Jesteśmy tu w świecie, który jakkolwiek napiętnowany interwencją człowieczą, jest wobec człowieka obojętny, samoistny w swoim bytowaniu ignorującym istnienie fragmentu świata zwanego człowiekiem. Te rzeczy lśnią, połyskują, mienia się barwami i różnią kształtami w niedocieczonym sensu pasji rozmaitości.

I tutaj wobec tych „rzeczy” tak skrupulatnie namalowanych zastanawia nas po raz tysięczny, jaki sens zawiera się w zróżniczkowaniu rzeczywistości na taką bacchanalię detalu.

Niemal wszystkie malowidła zawierają ładunek nawału, patrząc na nie wkraczamy w błędnie egzotycznej dżungli mającej wymowę niemal tak ogromną, jak malowidła bałalistyczne, czy religijne.

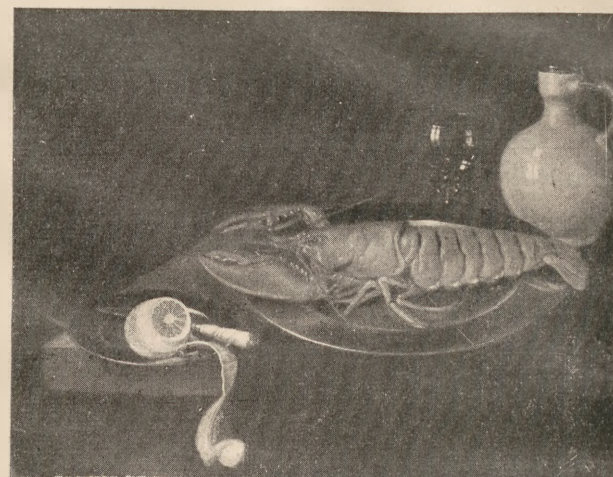
Malowidła takiego Pietra Corneliusza van Rijck’a to prawie „Bitwa pod Grunwaldem”. Obfitość szczegółu i wspaniałość kompozycji natłoku przypomina w niejednym malowidle bodaj Tintoretto’a.

A przecież to tylko „jedzenie”, jak rzecz określił jakiś nauczyciel przybyły z wycieczką dzieci na wystawę.

Dla kupca drewnego las napewno inaczej wygląda, niż dla dowódcy baterii artyleryjskiej, albo dla myśliwego, czy poety.

Nie wiem co myśleli malarze tych „martwych natur” pracując nad skwapliwością pieczołowitej dokładności przedstawienia ich mo-

deli. W przedmowie Dr Walickiego do katalogu przeczytałem, że istnieje „geografia” tego malarstwa. Że więc: „...w bogatym, partycjuszowskim Haarlemie przeważał typ wystawnego śniadania, w handlowym Amsterdamie — mie-



cie rzeczowych kupieckich stosunków, często spotykamy lekkie desery z winem i owocami, w Utrechcie malowano ze specjalnym zamiłowaniem — kwiaty, w Hadze — ryby, w Rotterdamie cieszyły się popularnością „sceny kochania”, w uniwersyteckiej wreszcie Leydzie ulubionym tematem „Vanitas” — czaszka na tle książek, fajek, instrumentów muzycznych i globusu”. Tak, to z punktu widzenia ogólnego tematu. Jako obiekty smakoszoństwa życiowego. Jedni w obcowaniu z „jedzeniem” są wykwinni, inni rozpustni, jedni powściągliwie wyrafinowani, inni prostacko żarłocznicy. To też widzimy kompozycje malarskie zwężone i bujne. Widzimy je dyskretnie i powiedziałbym krwiożercze. Są takie, które można by określić jako eleganckie, ale są też i koszmarnie. I skoro mowa o koszmarności, a przedtem użyłem już słowa demoniczne, to trzeba sprawdzić skąd powstaje takie wrażenie. Oczywiście, z punktu widzenia naukowego, natura — rzeczywistość jest pewnym zespołem przenikających się przez wpółdziałanie faktów nasuwających pewne sugestie praw ładu utrzymującego w korbach chaos zjawisk.

Stwierdzenie czy ten świat jest straszny, czy miły, to nie należy do obowiązków nauki. Ale jeżeli patrzymy na rzeczywistość, pozwalając sobie na odczuwanie jej, nie tylko konstataowanie, to właśnie przez teleskopy i mikroskopy takich malowideł jak zgromadzone na wystawie, „Martwa Natura” w Muzeum Narodowym — widzimy coś, co może przywykła do oswojenia się z powierzchowną codziennością psychika ludzka, zastanowić czemuś, co nie jest, ani przyjemnym smakiem, ani miłym zapachem.



A jest na tej wystawie obraz Abrachama Mignon'a (ur. we Frankfurcie nad Menem w roku 1640) zatytułowany w katalogu po prostu „Kwiaty“, który zdaje się świadczyć, że nie zawsze malarz martwej natury był tylko „kopistą“ urody powierzchownej obranego tematu. Ten obraz zawierający w swoim obrębie cały przebieg tego co nazywamy życiem indywiduum, niewątpliwie miał na celu pokazanie nie tylko różności kolorów i barw roślin, owadów i ptaków, ale kto wie, czy nie przede wszystkim, monotonii lasu, która polega na oscylacji między narodzinami i śmiercią.

W lewym, górnym rogu tego obrazu widnieje ptak w pełni radości życia, a u dołu malowidła leżą pojedynczo już tylko objedzone przez mrówki kostki, oto sens tej „martwej natury“.

Zaiste, to co najmniej „dziwaczna“ natura.

I właściwie, to nawet owe śniadania z powywracanymi pustymi pucharami i niedojczonymi owocami, czy mięsiami, pomimo, że miały zapewne służyć publiczności, jako obrazy sytości, rozkoszy kulinarnych, radości podniebienia, zaś malarzom jako źródła wrażeń estetycznych, gry form i barw, efektów świetlnych, wzruszeń wynikających z podatności talentu i światków malarskich wobec skomplikowanych zagadnień metier—to powtarzam, jako produkt uboczny dawały ładunek filozoficzny. Kto wie, czy nie bardziej nawet wymarzony niż w ideologicznych z założenia malowidłach na tematy „głębsze“.

Wszakże, jakkolwiek ten ładunek jest wyrazisty w omawianych dzisiaj obrazach, zawierają one ważki czysto estetyczny ładunek i ten należy z grubsza musnąć uwagą.

Otóż z tego punktu widzenia malarstwo przedstawione na wystawie jest pod znakiem misterności wyobrażenia środkami malarskimi przedsięwziętych tematów. Jest to wspólny mianownik wszystkich malowideł. Takie, czy inne pod względem wyboru tematu, kompozycji, barwy, są one wszystkie precyzyjnie „wykonane“, świadczą zarówno o zaletach talentów jak i charakterów ich autorów. Można je oglądać nawet na odległość nosa od powierzchni malowanej bo i wtedy zachowują, a niekiedy dopiero odsłaniają urok rzeczy doskonałych.

Jeżeli dla przykładu wymienię obraz Charles Williama Hamiltona pod tytułem „Motyle, jaszczurka i wąż“ to jesteśmy u sedna sprawy. Głowa jaszczurki, czy ślimaka u dołu obrazu, są niemal bardziej precyzyjne, niż w naturze.

I to jest ton zasadniczy zgromadzonego na wystawie malarstwa. Wydaje mi się, że jest on słuszny wobec tematu, który daje się podpatrywać zupełnie z bliska i którego skala rzeczywistości jest identyczna ze skalą obrazu.

W związku z tą mikroskopową niemal ścisłością widzenia i malowania znajduje się poezja do mnożenia szczegółów. W jednym np. z płócien są namalowane cienie mrówek łączących po ziemi.

W wielu malowidłach są maleńkie krople wody malowane już jedynie z czystej miłości do potęgi metier malarskiego.

Ca za tym idzie nieskończona mnogość szczegółów pociąga za sobą złożoność i nawet zawzięłość kompozycji.

Jak już wspomniałem jesteśmy tu w dżungli nadamazońskiej albo wśród architektoniczno-rzeźbiarskiego błędniaka świątyni w Indiach, czy katedry francuskiej. Są tu malowidła, które można nazwać lirycznymi jak u Simona Luttichmusa, ale są także epickie, kiedy dzieje się niemal jakaś akcja jak w malowidle Pietera Cornelisa, albo Cornelisa Jacobsa z Delft.

Wszakże, czy to w ujęciu rodzajowym jak u Mattheusa van Hellemutha, czy alegorycznym jak Kerstiaena Luyxa i Daniela Teniersa młodszego, widoczna jest namietność malarska wobec bogactwa, kształtów i barw. Lubowanie się ich gładkością, czy puszystością. Wyczuwanie ich twardości czy możliwości ich blasku metalicznego, czy szklistej potyskliwości.

Pióra, skrzydła motyli, liście, naczynia miedziane, czy fajansowe, materie, to nieograniczona skala efektów dających się „zrobić“ z farby.

Jest w tem wiele efektów udawania rzeczywistości, ale jest to pozorne.

Panuje tu rygor estetyczny tonacji. Znaczenie decydujące ma tutaj ogólna kompozycja.

Są tu obrazy czarne, są szare, są czerwone i niebieskie. Taki Jan Van Huysum namalował swoje „Kwiaty i gniazdko“ po prostu prawie na niebiesko.

Nieznany malarz, przypuszczalnie holenderski, z połowy XVII wieku w swoim „Fragmentie gabinetu“ uderza w akcenty czarne na tle złościwości tonów jasnych, zaś Jan van Peenen w swoich „Rybach“ daje Velasquezowskie srebrzyste szarości podniesione w wykwiecie swego chłodu przez delikatną koralową czerwoność jednego fragmentu.

Na ogół panuje tu charakter kolorystyki szarmonizowanej na tle prawie zupełnej czarności i barwności przeważnie w tonacji ciepłej, to też kilka obrazów jak np. Jana van Kessela „Królik wśród jarzyn“ wyodrębniają się lodowatą tonacją niebieskich zieleni.

Zamykając tę notatkę na marginesie wystawy w Muzeum Narodowym, należy podkreślić, że jeżeli zebrane tam malowidła odzwierciedlają mentalność ówczesnych ludzi, to dzisiaj także tak pozornie mały temat jak „martwa natura“ mogły się stać odwzorem mentalności ludzi dzisiejszych.

Bo przecież zarówno dobór przedmiotów jak i sposób ich przedstawienia, pod względem interpretacji kształtu, barwy i kompozycji mogą stać się wyrazem metafizycznym przeżyć człowieka.

Warto z tego punktu widzenia ocenić już w tej dziedzinie dokonane fakty i marzyć o przyszłych.

Akcenty pozaformalne w obrazach „muzealnych“ stanowią legauizujący nowe pomysły precedens.

II.

Miejska Szkoła Malarstwa i Sztuk Zdobniczych (na ulicy Myśliwieckiej) pod kierunkiem Dyrektora Juliana Bohdanowicza, zamk-



nęła rok pracy pokazem najnowocześniejszych rezultatów kształtowania artystycznego. Organizacyjnie, kurs w tej szkole składa się z dwu lat ogólnych i dwu specjalnych studiów.

Specjalizacja może mieć miejsce w działach następujących: rzeźby, technik malarskich, technik ściennych, grafiki i wnętrza handlowego, które prowadzi artystka rzeźbiarka Zofia Trzeńska-Kamińska, artysta malarz Edward Kokoszko, artysta malarz Mieczysław Szulc, Radwan, wreszcie Sigmund i Kurnatowski.

Na kursie ogólnym prowadzą różne działy Szperber, Żurkowski, Bartodziejski, Pochoski, Czarkowski.

Zadaniem szkoły jest uzbroić jej absolwentów w wiedzę praktyczną dotyczącą zagadnień sztuki, to znaczy w umiejętności obchodzenia się odpowiedniego z materiałem pracy artystycznej, a więc z farbą olejną, wodną, korzeniową, z kamieniem, metalem, drzewem.

Oczywiście szkoła musi dawać pewne dyrektywy estetyczne i takie jakie opracowano na zasadzie zrozumienia charakteru materiału i narzędzia.



Można zapewne łopatą rzeźbić w marmurze, ale słuszniej z wielu względów jest rzeźbić dłutem. Można malować olejne obrazy szczoteczką do zębów, ale słuszniej niewątpliwie jest malować pędzlami.

A skoro tak, to zjawia się zagadnienie, jak operować tym dłutem i pędzlem wobec materiału. Inaczej przecież obarcza się akwarelę papier, niż olejną farbą płótno. Inaczej też wprowadza się we współdziałanie dłuta rzeźbiarskie, wobec drzewa, inaczej wobec kamienia. Stąd właśnie powstaje estetyka różniczkowania przez różniczkowanie „rzemiosła“.

Profesorowie Miejskiej Szkoły Malarstwa i Sztuk Zdobniczych przeważnie byli wychowankowie Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, z racji osobistych zalet i talentów zarówno jak i z racji otrzymania w Akademii wiedzy, stanowią personel pedagogiczny wysoce wartościowy.

Niejedno nazwisko z tego grona jest szeroko znanym nazwiskiem cenionego artysty.

Możliwe też jest zapewne, że nazwisko jednego z dzisiejszych uczniów szkoły po skończeniu wyższych studiów artystycznych w Akademii, stanie się także nazwiskiem szerzej znanym.

Interesujące dla laików, jest także w dużym stopniu, pokazanie pewnych działów nauczania artystycznego, jak np. w klasie prof. E. Kokoszki, gdzie bardzo pouczające jest zestawienie kolejnych studiów robienia gruntu pod złożenie, czy malowanie.

Bardzo interesującym jest dział prof. Radwana.

Obejrzenie klasy Kokoszki polecam jaknajgoręcej klerowi, zaś klasy Radwana naszym księgarzom — wydawcom.

Jeżeli chodzi o piękno książki, to z każdym rokiem, po obejrzeniu odnosnych działów w Akademii Sztuk Pięknych i w Miejskiej Szkole Malarstwa, coraz bardziej pewien jestem, że to tylko niedbalstwo wydawców i być może (wedle opinii wydawców!) obojętność publiczności są przyczyną ubóstwa ilości wydawnictw artystycznych na rynku polskim.

Mamy bowiem zastęp liczny wybitnych artystów-grafików „uginających się“ od niedoli, ale ciągle łaknących zamówień.

Miejska Szkoła wychowuje zastępy fachowców w dziedzinie malarstwa olejnego, korzeniowego, temperowego, w dziedzinie rzeźbiarstwa, grafiki, a naród pod postacią zarówno prywatnego konsumenta, jak społecznego, czy państwowego powinien tych fachowców użytkować.

Wychowankowie Miejskiej Szkoły napewno podołają zadaniom złożonym, jakie im przedłoży do rozwiązania życie.

Interesujące jest w Miejskiej Szkole to, że niejednokrotnie, aby nie absorbować uwagi ucznia zagadnieniami twórczości kompozycyjnej, poleca im się wykonanie w odpowiedniej fakturze już przez kogo innego skomponowanych malowideł. Mimo ewentualnie negowanie słuszności takiego postępowania, uważam, że jest to o tyle przynajmniej pożyteczne, że nie stwarza fałszywych ambicji artystycznych u ludzi, którzy są znakomitymi wykonawcami dzieła sztuki z punktu widzenia roboty fizycznej. Mogą się oni stać niezmiernie użyteczni, ba nieodzowni dla tych artystów, którzy rozprządzają talentem, czyli zdolnością przeprowadzenia „roboty psychicznej“, dzieła sztuki. Precedensy pod tym względem bywały zresztą już w dawnych czasach.

A dzisiaj niejednokrotnie wykwalifikowany rzeźbiarz - rzemieślnik (po francusku „artisan“) realizuje w materiale dzieło skomponowane przez rzeźbiarza-artystę. Umiejętność obchodzenia się z kamieniem takim, czy innym, jest to umiejętność praktyczna — posiadać ją musi nawet najbardziej bezimienny artystycznie, kamieniarz przygotowujący kostki brukowe.



I nie często zdarza się, że ktoś, kto umie się obchodzić z kształtem, jako twórca kompozycji rozprządza jednocześnie zdolnościami realizatora w materiale. Niekażdy kompozytor jest wirtuozem i nawzajem, nie każdy wirtuoz jest kompozytorem. Nie mówię już o kompozytorze utworów orkiestralnych. Oglądając wystawę doroczną w Miejskiej Szkole Malarstwa i Sztuk Zdobniczych, nie można wyłapać nazwisk i wróżyć im przyszłości.

Ci, którzy czują się na siłach osiągnąć niewątpliwie to do czego są zdolni. Trzeba powiedzieć ogólnie, że możliwości takie widać u niejednego z wychowanków. Najbliższe lata wyjaśnią to napewno.

Jedno zdaje się być niewątpliwie, to to mianowicie, że jeżeli wychowankowie tej szkoły będą coś w dziedzinie sztuki robili, to nawet przy średnim poziomie inwencji artystycznej, będą „robili“ swoje prace z rzetelnością umiejętności.

Bo tego przecież uczą ich, właśnie profesorem tej szkoły.

ZOFIA KLARNER

G i m n a z j a k r a w i e c k i e

Nowe typy szkół najczęściej z pewnym trudem torują sobie drogę, muszą zwalczać pewne uprzedzenia, z wysiłkiem zdobywać zrozumienie i uznanie dla swych poczyniń. Inaczej rzecz się miała z czteroletnimi żeńskimi gimnazjami krawieckimi. Od chwili, gdy w roku szkolnym 1935/36 pierwsze gimnazja zawodowe tego typu zostały otwarte, zgłaszała się do nich wielka ilość kandydatek i ten stan rzeczy trwa do dnia dzisiejszego. Wiele składa się na to przyczyn. Zawód krawiecki jest bez wątpienia jednym z najstarszych fachów uprawnianych przez kobiety, odpowiada ich odwiecznym instynktom: zamiłowaniu do pracy ręcznej, poczuciu piękna i zainteresowaniu do strojów. Dodatnią stroną pracy krawcowej jest również to, że można ją wykonywać zarówno w wielkich warsztatach krawieckich jak i w domu, więc zawód ten łatwiej od wielu innych można pogodzić z obowiązkami życia rodzinnego. Obok tego doświadczenia lat kryzysowych zniechęciły wiele dziewcząt do pracy biurowej i nauczyły je cenić pracę ręczną, a zwłaszcza umiejętność szycia jako pewniejsze od wielu innych źródło zarobkowania. Nie bez znaczenia dla szybkiego zdobycia sobie przez gimnazja krawieckie popularności w szerokich warstwach społeczeństwa była kilkunastoletnia tradycja żeńskiego szkolnictwa zawodowego, które wytrwała i owocną pracą w ciągu wielu lat przyczyniła się do rozpowszechnienia idei pracy kobiet na polu rzemiosła. W chwili obecnej sieć żeńskich czteroletnich gimnazjów krawieckich pokryła już całą Polskę, znajdujemy je nie tylko w Łodzi, we Lwowie, w Krakowie, Poznaniu i Wilnie, ale i w szeregu mniejszych miast.

W bieżącym roku szkolnym szkół tego typu było czynnych w całej Polsce 50 oprócz 28 trzyletnich szkół krawieckich typu gimnazjalnego. W stolicy obok państwowego gimnazjum krawieckiego mamy dwutorowe gimnazjum krawieckie przy I-ej Miejskiej Żeńskiej Szkole Zawodowej.

Gimnazjum to mieści się w jednym z najpiękniejszych gmachów szkolnych Warszawy przy ul. Kazimierzowskiej 60.

W jasnych, pełnych słońca nowocześnie urządzonych pracowniach i klasach ogólnokształcących zdobywa zarówno umiejętności fachowe, jak i wykształcenie ogólne, liczne grono dziewcząt w błękitnych i żółtych fartuszkach. Olbrzymia sala gimnastyczna, jasne szerokie korytarze i sale rekreacyjne dostarczają odpowiednich warunków zdrowotnych wychowancom szkoły. Zarząd Miejski w m. st. Warszawie

utrzymuje ponadto trzyletnią krawiecką szkołę zawodową żeńską typu gimnazjalnego przy ul. Białostockiej.

W programie tej szkoły mieszczą się w skróceniu wszystkie podstawowe elementy wykształcenia przewidzianego przez program czteroletnich gimnazjów krawieckich. Jest ona przeznaczona dla dziewcząt, dla których czteroletni okres nauki byłby ze względów materialnych zbyt długi.

Zasady przyjmowania kandydatek do gimnazjów krawieckich są zbliżone do przepisów obowiązujących przy wstępie do gimnazjów ogólnokształcących. Na podstawie świadectwa ukończenia 6 oddziałów szkoły powszechnej po przejściu przez badanie lekarskie i egzamin wstępny dziewczęta zostają przyjęte do klasy I-ej (przy tym dolną granicę wieku stanowi lat 13, górną 17).

Doradczą lecz ważną rolę odgrywają badania psychotechniczne, które określają nie tylko inteligencję ogólną kandydatek, lecz przede wszystkim ich przydatność do obranego zawodu. Koordynacja ruchów, wyobrażenia przestrzenne, szybkie tempo pracy, umiejętność zestawiania barw oto cechy, od których uzależniona jest w znacznej a nawet decydującej mierze sprawność zawodowa przyszłej krawcowej. Badania psychotechniczne skłonnościowe rzucają też niekiedy pewne światło na właściwości charakterologiczne potrzebne do zawodu krawieckiego. Zaliczymy do nich szybkość orientacji, systematyczność w pracy, obowiązkowość, poczucie czasu i wypływająca stąd punktualność.

Zasadniczo selekcja kandydatek do gimnazjów krawieckich powinna być przeprowadzona starannie, gdyż tylko dziewczęta o dość wysokim poziomie inteligencji ogólnej i odpowiednich uzdolnieniach fachowych zdołają w całej pełni opanować przewidziany przez pro-

gram zakres usprawnień zawodowych oraz zasób wiadomości teoretyczno - zawodowych i ogólnych. Zakres tych usprawnień i wiadomości jest dość rozległy i gruntowny. Ośrodkiem nauczania w gimnazjum krawieckim jest warsztat szkolny, w którym uczennice uczą się kroju, modelowania i szycia. Szereg przedmiotów pomocniczych zwanych zawodowymi pogłębia i uzupełnia zdobyte w ścianach warsztatu umiejętności. Tak więc rysunki i nauka o ubiorach mają na celu wyrobienie w uczennicach kultury estetycznej tak nieodzownej dla każdej wykwalifikowanej krawcowej. Pod kierunkiem nauczycielek rysunku dziewczęta komponują modele sukien, które będą szyte w pracowni szkolnej, przeglądają żurnale, omawiając najbardziej charakterystyczne przejawy mody, zwiedzają muzea i wystawy. Główną znajomość wszelkich gatunków tkanin, z którymi ma do czynienia krawcowa, zdobywają uczennice na lekcjach materiałoznawstwa prowadzonych metodą ćwiczeń laboratoryjnych.

Wreszcie w dwóch klasach ostatnich mamy jako osobny przedmiot nauczania organizację warsztatu rzemieślniczego, mającą za zadanie zaznajomienie uczennic z zasadami gospodarczymi, technicznymi i prawnymi, które muszą być brane w rachubę przy zakładaniu małego przedsiębiorstwa odzieżowego.

W dziale przedmiotów ogólnokształcących ściśle związanych oraz niezwiązanych bezpośrednio z zawodem zostały uwzględnione zarówno elementy wykształcenia humanistycznego jak i matematyczno-przyrodniczego. Pierwsze reprezentują przede wszystkim język polski i historia, drugie algebra z geometrią i wiadomości przyrodnicze obejmujące podstawowe wiadomości z fizyki i chemii, przyrodę żywą i naukę o człowieku. Jedną z tendencji programu jest wyrobienie uczennic pod względem społeczno-obywatelskim i obudzenie w nich zainteresowań dla spraw gospodarczych. Momenty te znajdują szerokie uwzględnienie na lekcjach geografii gospodarczej i nauki o Polsce współczesnej. Należy dodać jeszcze, że w gimnazjach krawieckich w dość szerokim zakresie zostało uwzględnione wychowanie fizyczne (przy tym specjalne ćwiczenia mają przeciwdziałać ujemnym skutkom pracy warsztatowej); obok tego nauka gospodarstwa domowego drogą zajęć praktycznych zaznajamia starsze dziewczęta z racjonalnymi metodami organizowania domu rodzinnego. Widzimy więc, że zakres umiejętności i wiadomości dostarczanych przez szkoły tego typu jest bogaty i wielostronny.



Gimnazjum Krawieckie (grupa a).

Pozostała jeszcze do omówienia sprawa możliwości życiowych, jakie stoją otworem przed absolwentkami gimnazjów krawieckich.

Uczennice kończące szkołę składają egzamin czeladniczy krawiecki przed komisją, w skład której wchodzi delegat Izby Rzemieślniczej i uzyskują tytuł czeladniczek. Po odbyciu trzyletniej praktyki w pracowni i przesłuchaniu kursów mistrzowskich organizowanych na podstawie opracowanego przez Ministerstwo W. R. i O. P. programu przez związki zawodowe, samorządy i instytucje społeczne, przystępują do złożenia egzaminu mistrzowskiego. Tytuł

ten uprawnia, jak wiadomo, do prowadzenia własnego warsztatu pracy z prawem przyjmowania i kształcenia uczennic w zawodzie krawieckim oraz do zajmowania stanowisk kierowniczych w przemyśle odzieżowym. Absolwentki gimnazjów krawieckich mają ponadto otwarty dostęp do wszelkiego rodzaju liceów zawodowych po złożeniu egzaminu wstępnego. Specjalnie uzdolnione do fachu krawieckiego jednostki mogą też uzupełnić i pogłębić zdobyte w gimnazjum wykształcenie zawodowe w trzyletnim liceum krawieckim, choć zasadniczo podbudową dla tej szkoły stanowi czteroletnie

gimnazjum ogólnokształcące, gdyż naukę krawiectwa rozpoczyna się w liceum od początku.

Absolwentki liceum krawieckiego po odbyciu paroletniej praktyki w pracowni mogą składać egzamin mistrzowski, bez obowiązku przesłuchania specjalnych kursów dla mistrzyń. Wykształcenie stopnia licealnego osiąga zazwyczaj tylko niewielki procent absolwentek gimnazjów krawieckich, większość ich wchodzi bezpośrednio w życie jako wykwalifikowane pracownice, wnosząc w świat polskiego rzemiosła pewien zasób kultury estetycznej i umysłowej oraz wyrobienie społeczno-obywatelskie.

Aproprowizacja wielkich miast w czasie wojny

Powszechnie obserwowany w okresie wielkiej wojny 1914 — 1918 roku, w państwach wojujących, niedobór środków żywności i artykułów niezbędnego użytku, z dwóch zasadniczych wynikał przyczyn. Jedną z nich było ograniczenie produkcji rolnej i przemysłowej, na skutek objęcia ogromnych połaci kraju działaniami wojennymi, uszczuplenie rąk pracy na skutek masowego poboru do wojska, rekwizycja sił pociągowych w gospodarstwach rolnych i zniszczenia wojenne. Nie mniej ważnym działającym równolegle z pierwszą przyczyną, był gwałtowny wzrost konsumpcji środków żywności, materiałów odzieżowych, środków pędnych itp. spowodowany powołaniem milionów ludzi do szeregów i uruchomieniem maszyn wojennej.

Załamanie się nieomal że w pierwszych dniach wojny, równowagi pomiędzy podażą i spożyciem — na niekorzyść pierwszej, rozpoczęło orgię spekulacji, godzącej w interesy szerokich rzesz konsumentów zwłaszcza zamieszkujących w wielkich miastach.

Sytuacja aprowizacyjna stała się szczególnie tragiczna w tych państwach, które już w czasach pokoju, nie będąc samowystarczalne w zakresie pokrywania swego zapotrzebowania na żywność i środki niezbędnego użytku, zmuszone je były importować, z państw dysponujących odpowiednimi nadwyżkami. W tym położeniu — stałych importerów środków żywności, w okresie przed wielką wojną, znajdowały się jak wiemy Państwa Centralne, na czele z Niemcami.

Gdy pierwsze miesiące krwawych zmagañ wojennych przekonały Niemcy, że kresu wojny nie należy oczekiwać w ciągu tygodni lub nawet miesięcy, że przeciwnie trwać ona może przez szereg lat, postanowili oni oświadczyć na wschodzie „przestrzeniami aprowizacyjnymi“, które by pozwoliły skompensować straty, wynikłe z ustania importu, oraz ubytku spowodowanego specyficznymi przyczynami wojennymi.

Przesuwając linię swego frontu na wschód, nad Berezynę i Dniepr, Niemcy tym samym włączyły wówczas cały obszar historycznej Polski do swego systemu aprowizacyjnego.

Ziemie Poiskie, przez które przeszedł był już wówczas niszczący taran wojny, niwecząc dziesiątki tysięcy sadyb ludzkich i wyłączając z arealu pól uprawnych setki tysięcy ha, zmuszone zostały do przyjęcia na siebie obowiązku, wyżywienia przeszło milionowej armii okupacyjnej i oddania lwiej części swych pól, na potrzeby wygłodzonej ludności krajów Rzeszy Niemieckiej. Okupanci kierowali się w pierwszym rzędzie troską, o swą armię i ludność Reich'u, przeznaczając na potrzeby ludności ziem okupowanych, jedynie pozostałe, zbywające im ilości środków żywności.

Okoliczności powyższe wydają się świadczyć o tym, że gdyby nie odpływ środków żywności do Rzeszy i na potrzeby armii okupacyjnej, niedostatek i głód — nie stałyby się wówczas naszym udziałem. Wniosek ten znajduje pełne potwierdzenie w cyfrach ilustrujących stosunek naszej konsumpcji do produkcji pól rolnych oraz hodowlanych.

Z cyfr Małego Rocznika Statystycznego za r. 1938 wynika mianowicie, iż w zakresie takich artykułów jak węgiel, cukier, ziemniaki, mięso — produkcja nasza przekracza poważnie spożycie, w rezultacie czego w czasie pokojowym jesteśmy eksporterami tych artykułów, do państw mniej zasobnych w żywność. Nie wątpliwie w czasie wojny wzrośnie spożycie, — na zwiększone potrzeby wewnętrzne — oddane jednak wówczas zostaną, te nadwyżki środków żywności, które dzisiaj eksportujemy zagranicę.

Polsce na wypadek wojny nie grozi głód, nawet przy obecnym poziomie produkcji rolnej, w przeciwieństwie do Niemiec — w której ludność dzisiaj już niedojada.

Nie należy zapominać również o tym, iż Niemcy w zakresie rozmiarów produkcji rolnej osiągnęli swoje maximum, od którego my za wyjątkiem Poznańskiego, w całej reszcie kraju dość jeszcze jesteśmy oddaleni. Intensyfikacja produkcji rolnej, obecny zupełnie nie zły jej stan u nas — znacznie jeszcze polepszy.

Posiadając warunki, gwarantujące nam w razie wojny samowystarczalność w zakresie środków żywności, szczególną uwagę zwrócić musimy na ich aparat rozdzielczy.

Z okresu minionej wojny światowej wyciągnąć należy wniosek, iż zwycięstwo w wojnie przyszłej należyć będzie do grupy tych państw, których organizm gospodarczy lepiej będzie zadość czynił specjalnym wymogom gospodarki wojennej.

Obok czynnika gospodarczego, który nie może doznać na skutek wybuchu wojny jakiegokolwiek poważniejszego zakłócenia swych funkcji, cechę spokoju i pełnego harmonijnego współdziałania z armią wykazać musi czynnik społeczny. Troska o zapewnienie temu czynnikowi w czasie wojny warunków możliwej egzystencji materialnej, staje się podstawowym założeniem Państwa i Samorządów. W tym względzie na czoło wysuwa się sprawa aprowizacji ludności.

U podstaw systemu aprowizacyjnego, leży przymusowy skup żywności przez Państwo, celem dalszego jej rozdziału poprzez system hurtowni komunalnych, spółdzielczych, prywatnych i sklepów detalicznych pomiędzy ludność.

Monopol skupu żywności może polegać na systemie sekwestracyjnym — obejmującym zakup całych zasobów wyprodukowanych środków żywności i objęcie systemem aprowizacyjnym również ludności wiejskiej, lub na systemie kontyngentowym, gdzie do skupu wyznacza się określone ilości środków, bez troszczenia się o repartycję reszty, jaka pozostaje na potrzeby producentów.

W Polsce w której 70% ludności żyje na wsi z zajęć związanych z produkcją rolną, a tylko 30% tj. niewiele ponad 10 milionów w miastach, pierwszeństwo na wypadek wojny dać należy systemowi kontyngentowemu. W zasadzie chodzi bowiem o zorganizowanie aprowizacji ludności miejskiej, która nabywając żywność z rąk pośredników, w razie wojny narażona będzie na nieuzasadnioną spekulację

podbijającą ceny, do poziomu zagrażającego szerokim rzeszom słabszych finansowo konsumentów, z reguły pracowników najemnych, rzemieślników i robotników.

Troska o podstawowe interesy i zdrowie mas pracujących, w imię utrzymania tak koniecznego w społeczeństwie w czasie wojny spokoju, domaga się, aby obok czynników państwowych, w aparacie dystrybucyjnym środków żywności w miastach, wzięły udział samorząd, wspólnie z czynnikami społecznymi i sferami odpowiedzialnego kupiectwa polskiego. Kupiectwo to zdało w tym względzie celujący egzamin w latach 1918—1921 w Wielkopolsce. Dowiodło ono, iż ponad dążności do niesłusznego wzbogacenia się ze szkodą dla ogółu ludności, tak charakterystyczne dla kupiectwa żydowskiego, potrafi ono przełożyć interes społeczny, dając tym wyraz poczucia głębokiej odpowiedzialności i szczytnych zadań, jakie kupiectwo polskie wspólnie z Państwem i Samorządem dźwigać będzie w zakresie aprowidowania ludności miast, na swych barkach w czasie wojny.

J. K.

**PRZEDSIĘBIORSTWO
R O B Ó T
I N Ż Y N I E R Y J N O
B U D O W L A N Y C H**

J. A. BERĘSEWICZ

**WARSZAWA
UL. POLNA 76.
TELEFONY:
8-60-60 i 10-50-16.**

**HERBATY TEMAN
S M A C Z N E I W Y D A J N E
„P L U T O N”**

T. i M. TARASIEWICZÓW S. A



IADWIGA KRAWCZYŃSKA

Ostatnia wiejska droga na Saskiej Kępie

(Reportaż sentymalny)

Wkrótce już jej nie będzie. Wkrótce zniknie na zawsze ostatnia wiejska droga na Saskiej Kępie. Zabytek niedawnych czasów, kiedy to na niedzielne wycieczki warszawianie jeździli z lewego na prawy brzeg Wisły łodziami od młyna na Solcu „po 3 kopiejki od głowy”. Kiedy to kwitnące sady na Kępie były schronieniem słowików, a zaciszne drogi wśród



Ostatnia wiejska droga na Saskiej Kępie.
Wierzby.

drzew i zarośli — miejscem spacerów zakochanej młodzieży. Prawdziwa wieś na Kępie, jej chałupy i sady od kilku lat należą do przeszłości — w przyszłym roku nie będzie już śladu z ostatniej drogi wiejskiej...

Chodziłam nią dość często, lecz zawsze jakby ukradkiem, jakby nieumyślnie. Może podświadomie bałam się, że ją zdradzę i wydam wrogom? Może mnie podpatrzę? Może dowiedzą się, że przychodzę tu, aby ukryć się przed Warszawą, aby uciec na wieś, aby iść drogą, która prowadziła do każdej w Polsce wsi... Zatajałam sama przed sobą, że idę nie tylko od ulicy Zwycięzców do Wału Miedzeszyńskiego — marny kawałek drogi, paręset metrów! — lecz idę nią do Tenczynka, do Niedźwiedzia, do Kazimierza, do Szafarni, do Każdej Woli i do każdego Zalesia — poprostu do wsi. Do tej wsi, którą chodziło się tylekroć, gdy wszystko było inne i gdy człowiek też był tak bardzo inny, myśląc, że chyba jednak się nie zmieniło, skoro jest ta droga — wszędzie ta sama...

Tej wiosny zobaczyłam nagle, że droga, ta zwykła, wyboista, zakurzona i zabłocona wiejska droga na Saskiej Kępie już znika, że lada dzień już jej nie będzie. Skazana jest na zagładę, ginie w oczach. Więc już sekret mój nie pomoże, nie ma czego skrywać. Jesteśmy zdradzeni — ja i ty, moja drogo.

To bardzo zwyczajna droga. Jest bardzo wiele piękniejszych dróg na świecie. Ale ta była jedyna, była ostatnia. I już jej nie będzie. Więc dlatego to wszystko.

Ta droga jest właściwie brzydka. Nic jej nie zapowiada. Wypchnięto ją już dawno, od paru lat, z jej początku, tak że urwana, gubiła się w krzakach przy pastwisku. Odnalazłam ją przypadkiem, chcąc uniknąć spotkania z krowami, które są wprawdzie bardzo malownicze na zielonych łąkach, ale każdy ma swe sym-



Obok drogi — łąka — kopa siana.

patie i niekoniecznie muszą to być rogacie krowy.

W gęstwinie krzewów, wilgotnych i tchnących świeżością, oddech stał się nagle czymś przyjemnym. Po paru krokach zamknęła się nade mną kupa zieleni. Krzewy podniosły się w górę, drzewa zbudowały kościelny strop. Chłodno, zacisznie, pachnąco. Dzikie akacje, leszczyna, tarnina, czarny bez, który kwitnie białą, lecz owoce ma czarne, ułożone w baldaszki. No — i wierzby. Najpospolitsze z naszych przydrożnych drzew, takie najwyczejniejsze.

Niepożyteczne, wiadomo, chyba na fujary dla pastuchów, podobno nawet szkodliwe, chroniące malarię i gniazda komarów... Ale jakże znajome są ich sylwetki, powykręcane, jak zreumatyzowane ręce staruchów, jak pochylone grzbiety prababek — a w wiotkich gałązkach rzewne i młode, jak rzucone na wiatr włosy dziewcząt i chłopców.

Droga właściwie — paskudna. Albo błocko, albo kurz po kostki. Zawsze buty trzeba holować, takie ciężkie stają się od lepkiego osadu. I nierzadko uprzykszone, natrętne muszki wciskają się w oczy i nozdrza. Ale na jakiej prawdziwej drodze wiejskiej jest inaczej? Może gdzie indziej, w jakiejś nowej wsi, ale tu przecież nikt nie dbał o starą, zapuszczoną drogę. Podle krzaków rosną pokrzywy, zielska,



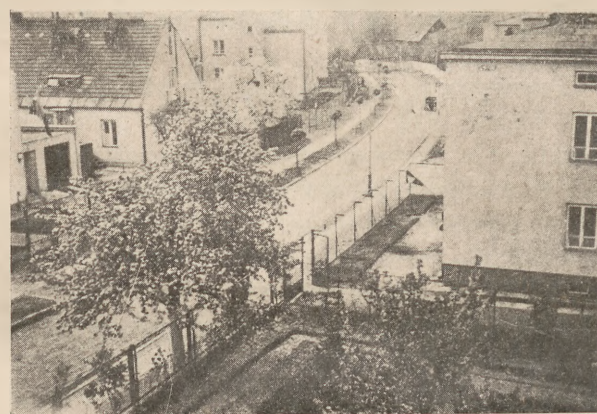
Stara wierzba patrzy na nowoczesną willę.

trawska. A i ta łąka obok marna. Zarosła szcawiem i chwastem, tyle, że zdobią ją korony białych rumianów i śpiewają nad nią skowronki. One jedne napełniają radością przestworza, nie widząc z wysoka, z pod słońca, jakie robactwo pełza po ziemi, byle czuły żywy oddech roli, zieleni i życia gleby.

Droga jednak — piękna. Idzie się pod bramami zieleni, pod łukami gałęzi, opuszczających dobrotliwy cień nad głową człowieka. Słońce złotymi talerzami zasiewa zapyłoną drogę i pył staje się srebrny, lśniący, w tanecznym ruchu światła i cieni, kołysanych powiewem wiatru. Albo o zachodzie, od czerwonych chmur padają rumiane blaski na pnie starych drzew. Na stare wierzby i na starsze od nich topole i rozłożyste wiąz. Jeszcze stoi ich kilka, kilkanaście, jak słupy wyniosłe, jak kolumny, jak ściany zburzonych świątyń. Czarne i wyniosłe w swej rozpacz, że są tu ostatnie.

Patrz teraz, jak ginie ostatnia wiejska droga u ich stóp. Jej zagłada idzie w przyspieszonym tempie. Tej wiosny, gdy zakwitły białe tarniny i gdy pojawiły się żółte mleczki na łące, padło kilka wierzb pod siekierami, czy poprostu wyrwano je z wątłej ziemi. Głębokie doły napełniły się wapnem, zaczerwieniły się stosy cegieł i rozpyliły się piramidy piasku. Ludzie rozpoczęli swój zwykły rozruch, swój

tan zapobiegliwy naokoło dołów. I wkrótce wyszły z dołów czerwone grzybki domów, nowych, najnowszych willi. Niczym nie podobne do chałup i drewniaków, co tuliły się tu przedtem opodal drogi. Świecą białymi ścianami, odziane w szkła, metale, świeży kamień... Ładne, a nawet piękne. Przy nich sieroce drzewa, zachowane uprzejmie, jeżeli nie stały na przeszkodzie budowniczemu: czasem lipa lub



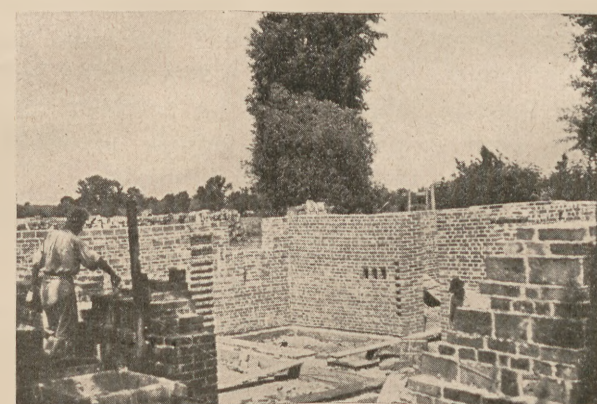
Ze starych sadów ocalało kilka drzew na Saskiej Kępie

dąb, albo pojedyncze, sękaty pnie jabłoni, śliw, gruszy, ocalone z dawnych sadów.

Ostatnią wiejską drogą na Saskiej Kępie idę powoli. Może już więcej nie spotkam koniakasztana wolno puszczanego na łąkę. Może nie będzie tu już siemieniowych kur, kręcących się beztrosko koło zagrody. Czy odpowie mi innym razem krzykliwy ptak w zaroślach? W osłonie strzelistych topoli, szumiących jak woda pod takt wiatru, chyli się stary domek, czysty i miły. Ówde w sadzie ustawiono wysoką kopę siana — czyż to naprawdę Warszawa? W ogrodzie pełnym kwitnących peonii zaszył się w zieleni pńczy romantyczny drewniany dworek — czeka, aż kupią go na rozbiórkę. Poczekajmy razem z nim — może przedłużymy mu życie... życzliwym spojrzeniem.

Z za ściany zieleni z pod baldachimem drzew wyskakuje niby z głębokiego wąwozu perspektywa Wisły — błękitna, szafirowa, srebrzysta. — Na brzegu Wału Miedzeszyńskiego stoi znormalizowana tabliczka uliczna, dowód porządku i zapobiegliwości zarządu miasta: to jest ulica Ateńska. Jeszcze jej nie ma, ani śladu ulicy na wąskiej drodze między łączką a ścianą krzewów. Ale będzie, napewno będzie już wkrótce. Tylko, u licha, komu przyszło do głowy nazwać ją „Ateńską”? Kto był taki chytry, aby nazwą klasyczną chcieć przekupić, czy może przebłągać kozłonogiego Pana, co chadzał tędy o świecie, rzępoląc na pieszczalcę? Czy pocieszysz go to, że jego ostatnią drogę, którą odszedł wygnany na zawsze z Saskiej Kępy, nazwano ulicą Ateńską? Czy tym pochlebstwem można go przeprosić za afront? skoro mu zabrano — jemu i mnie — ostatnią drogę zielonej swobody...

Ale ukochana Warszawa twardym murem musi iść naprzód...



Najnowsza willa — stara topola przy ostatniej drodze wiejskiej na Saskiej Kępie.

A. WIECZORKIEWICZ

Warszawa widziana z Wisły

Warszawa leży nad Wisłą — o tym wiemy wszyscy, ale gdy zastanowimy się nad treścią tych słów, wydać nam się musi aż dziwne jak mało konsekwencji w życiu warszawian wypływało do niedawna z prawdy położenia geograficznego naszej stolicy. Warszawa leży nad wielką rzeką, a życie jej na przestrzeni wielu lat odeszło od rzeki i toczyło się od niej zdale, chociaż układało się wzdłuż jej biegu. Tak jakby ta rzeka leżała gdzieś daleko, jakby odgrodzona była od równoległej z nią linii Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Świata murem nie do przebycia.

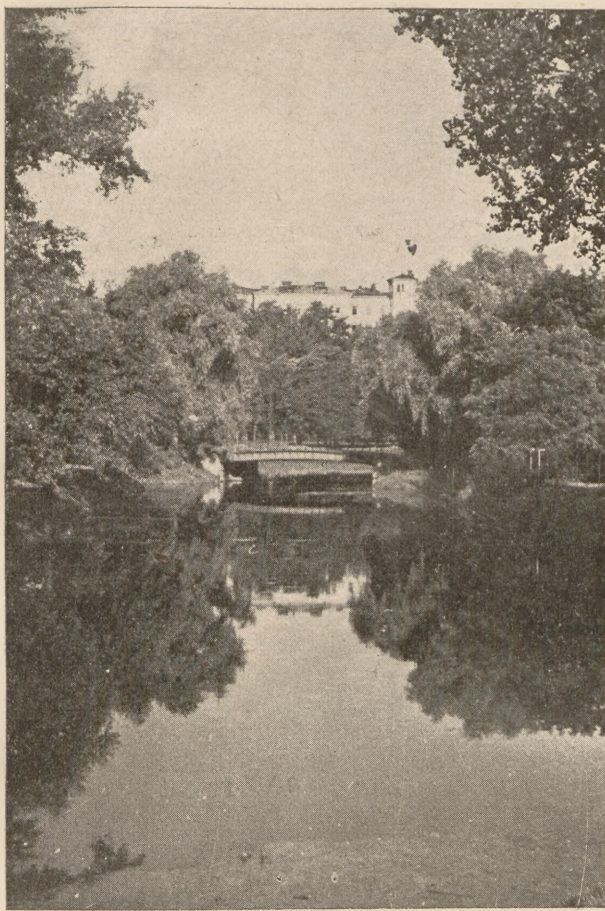
Nie zawsze jednak przecież tak było. Warszawa powstała nad Wisłą i jej rozwój z rzeką organicznie był związany. W połowie wieku XIX dopiero coś się psuć poczęło w tym związku naturalnym. Miasto staje się coraz bardziej „lądowe”. Czemu tak się stało? Pewien miłośnik naszego miasta, artysta a przytym historyk na początku naszego stulecia propagował teorię, nie wiem czy zapożyczoną skądś, czy też przez siebie stworzoną, że miasta rozwijają się w kierunku zachodu. Że mają tendencję rozrastania się terytorialnego ze wschodu na zachód. A więc, jeśli miasto leży na zachodnim brzegu rzeki — to od niej ucieka w swoim rozwoju, jeżeli zaś na wschodnim — to się tłoczy przy brzegu. Według tego prawa rozwoju miast Warszawa musi opuszczać brzegi Wisły i dążyć w stronę Włoch (tych podwarszawskich), zostawiając Powiśle legendom o Syrenach, rybakom, piaskarzom i nędzy wielkowiejskiej, natomiast Praga tłoczyć się będzie nad sam brzeg wiślan i nie rozwinie się w kierunku Szmolowizny czy Grochowa.

Ta teoria pasowała istotnie do sytuacji Warszawy z przed lat kilkadziesiąt. Nie dowodzi to jednak wcale jej słuszności. Bo ten stan rozwoju miasta w końcu XIX i na początkach XX wieku nie był bynajmniej wynikiem naturalnego rozwoju Warszawy, a raczej zakłóceń, zahamowań i mechanicznych przeszkód. W ciągu paru wieków, od najstarszego widoku Warszawy z końca XVI stulecia aż po początek XIX, oglądaliśmy Warszawę zawsze niemal od strony Wisły. A na zgoła wyjątkowym, zdjętym od strony Nowego Miasta w końcu XVII stulecia widoku z kościołem Św. Ducha i murami miejskimi na pierwszym planie, Wisła, acz w tle, odgrywała jednak poważną rolę z Syreną i wodnymi bóstwami, stanowiącymi honorową asystę, „łódki kościoła Chrystusowego”, według barokowej mody lubiącej uplastyczniać symbole.

Warszawa od koncentrycznych przybrzeżnych skupień, jakie tworzy Stare i Nowe Miasto, rozwija się właściwie na wąskiej linii wysokiego brzegu wiślanego: na południe Krakowskim Przedmieściem w stronę Ujazdowa i na północ przez późniejszy Żoliborz w stronę Bielania. Nie ucieka więc od Wisły, ale najbar-

dziej reprezentacyjnymi budowlami zwraca się do niej frontem.

Jurydyki od rzeki oddalone — to miasteczka handlowe położone wzdłuż drogowych dojazdów do miasta, bynajmniej nie reprezentacyjne i przez długi czas dość odrębne. Oczy-



Kanał Piaseczyński z widokiem na pałac Ujazdowski przed regulacją.

wście ów pas zabudowy wzdłuż rzeki musiał rozszerzyć się w stronę ładu, ale ciężać jednak do rzeki. To samo zjawisko obserwować można na prawym brzegu Wisły. Praga sadowi się nad rzeką, ze swym kościołem Bernardynów i dworakami, przez długi czas, aż po jej zniszczenie w roku 1794 przez wojska moskiewskie Suworowa, nie wykazując tendencji sięgania do osiedli które rozsiadły się dalej od brzegu.

Pałace warszawskie położone na wysokim brzegu Wisły spuszczały w dół ku Wiśle swe ogrody, niektóre sztucznymi kanałami, jakby łączyć się pragnęły z wodami rzeki. Na zalewnym dolnym Powiślu nie mogło, oczywiście budować się miasto.

Wisła, wielka arteria komunikacyjno-handlowa, wrzała życiem. Ładowne barki, galery i tratwy pchane białymi skrzydłami żagli, przebiegały do brzegów Warszawy, lub mijały ją, dążąc dalej, do Gdańska. Magazyny solne i zbożowe lokowały się w portowej wsi Solcu, żeglowna rzeka była jedną z podstaw dobrobytu miasta. Wisła służyła też rozrywce. Za rozmiłowanych w zabawach Sasów — Saska Kępa po drugiej stronie Wisły była niejednokrotnie ce-

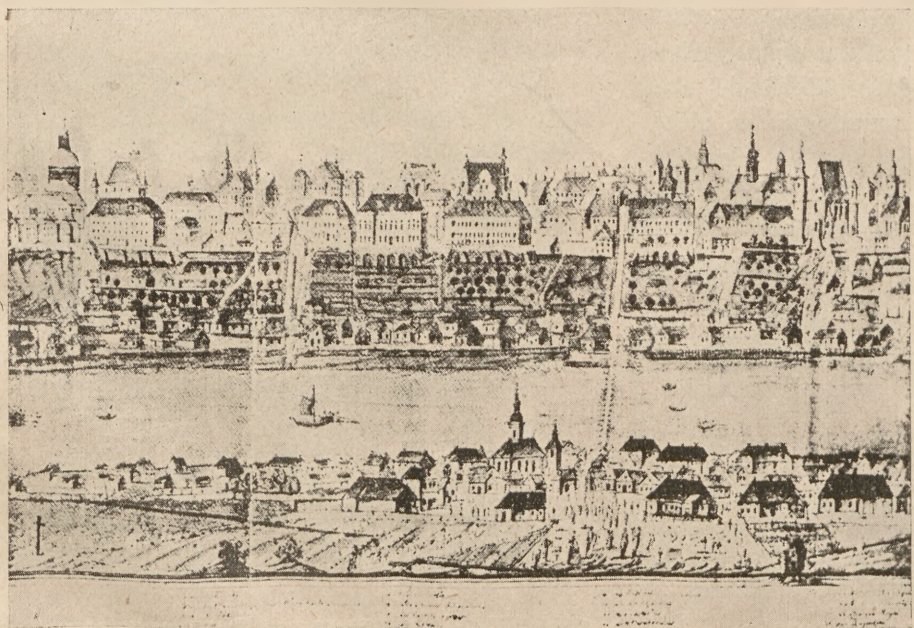
lem wycieczek letnich. Szlichtady i wyścigi na łodziach na zamrożonej tafli stawały się popularną rozrywką zimową.

Stanisław August korowodem łodzi dojeżdżał z Zamku do Łazienek, a starosta i poseł piński Butrymowicz z Pińska wyprawiał swych Poleszuków, którzy pod Zamek Królewski doprowadzili flotyllę łodzi, wcale pokaźną. Warszawa nie uciekała od Wisły, ale trzymała się jej, żyjąc z nią w zgodzie i czerpiąc te wszystkie korzyści zarówno natury gospodarczej jak i bardziej duchowej, jakie wielka rzeka może zapewnić położonemu nad jej brzegiem miastu.

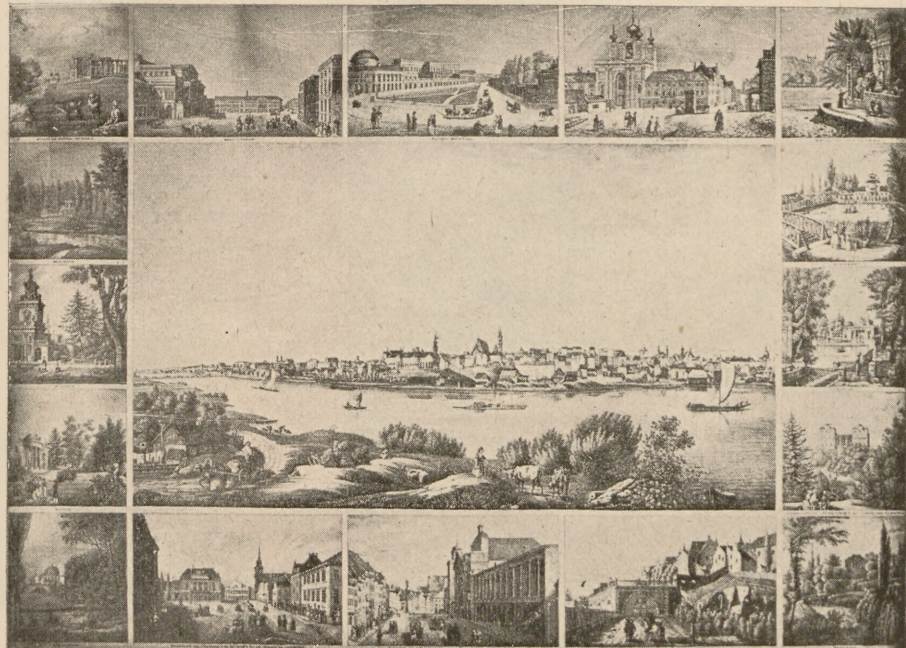
Geografowie i ekonomiści upatrują słusznie pomyślność warunków rozwoju Warszawy w jej położeniu na skrzyżowaniu dwóch wielkich szlaków komunikacyjnych i handlowych: miedzymorskiego, łączącego Morze Czarne i Bałtyk oraz transkontynentalnego z Zachodu na Wschód. Pierwszy z tych szlaków wytacza właśnie Wisła, drugi idzie liniami dróg przecinających Warszawę. Od tych warunków urbanistyczni uzależniają zasadnicze kierunki rozwoju samego miasta. I w tych też warunkach należy, sądzę, szukać przyczyn, które spowodowały, że w pewnym okresie swej historii Warszawa poczęła tracić swój kontakt z Wisłą, poczęła oddalać się od rzeki.

Zaczęło to się od rozbiorów Rzeczypospolitej, od chwili gdy Prusy zagarnęły dolny bieg Wisły, a wkrótce, mimo rozpaczliwego oporu ludności i polski Gdańsk, zakorkowały szlak miedzymorski. Wisła podzielona zaborami, poprzecinana granicami celnymi, straciła charakter wielkiej i swobodnej magistrali. Słusznie twierdził Fryderyk II, że kto trzyma Gdańsk, ten trzyma za gardło Polskę. Kto wie, czy to niejednokrotnie powtarzane przez Fryderyka twierdzenie nie znajduje się również w którymś z pośród kilkadziesiąt jego listów, jakie ofiarowano z okazji pięćdziesiątej rocznicy urodzin Adolfowi Hitlerowi.

Po zagrabieniu Pomorza, Warmii i Gdańska Warszawa tracić poczęła swą wielką rzekę. Wisła poczęła maleć, kurczyć się do lokalnej drogi komunikacyjnej od Sandomierza do Włocławka, a wraz z utratą swego znaczenia stawała się coraz mniej atrakcyjna i coraz mniej ważna dla Warszawy. Miasto poczęło ją zaniedbywać, poczęło się od niej oddalać. Polityka gospodarcza rządów Królestwa Kongresowego, kontynuowana jeszcze kilkanaście lat potem przez Bank Polski, starała się przywrócić Wiśle jej rolę handlową. Żegluga parowa na rzece ożywiła ją na pewien czas. W tym okresie też równolegle można zaobserwować i wzmożenie zainteresowań miasta rzeką. Powstają projekty bulwarów, uporządkowania Wisły w granicach miasta, powstaje nawet towarzystwo akcyjne budowy bulwarów, ale ciężkie warunki polityczne po powstaniu listopadowym nie sprzyjały realizacji tych projektów i poczyną.



Widok Warszawy i Pragi r. 1770.



Widok Warszawy — Litografia z pierwszej połowy XIX w.

Znaczenie szlaku międzymorskiego dla Warszawy upada. Jednocześnie wznowia się znaczenie szlaku transkontynentalnego z Zachodu na Wschód. Linie parowych kolei żelaznych wiodących na Zachód i na Wschód zbiegają się w Warszawie, która zaczyna się grupować w swych częściach nowych wokół i w pobliżu dworców kolejowych: wiedeńskiego i kaliskiego na lewym brzegu Wisły, a petersburskiego i tatarskiego na prawym, praskim. Linia kolei nadwiślańskiej spycha nieuregulowaną i zaniedbaną Wisłę na ostatni plan, godząc nawet częściowo w jej lokalne komunikacyjne znaczenie.

Warszawa nie ma co robić nad Wisłą, która pozostaje już niemal tylko jako problemat trudności połączenia linii kolejowych i dworców kolejowych, lewego i prawego brzegu.



Widok Kępy wprost Koszar Gwardii Pieszej Kor. (akwarela Vogla).

Ogrody pałacowe, opuszczające się po zboczu na Powiśle, już dawniej zapuszczone, oddawane były w części dolnej pod zabudowę najbiedniejszej dzielnicy miasta. Na Powiślu, na zamarłą w swym życiu rzeką, pozostały niektóre fabryki, korzystające z dowozu rzeczno a w ich pobliżu powstała dzielnica lichych małych domów lub ponurych czynszowych kamienic przy nędźnie zabrukowanych, bezładnych uliczkach. O kilkaset metrów od reprezentacyjnej wciąż arterii łączącej Zamek z Belwedrem rozsiadła się dzielnica brudna, chaotyczna i ponuro zabudowana, tworząca pas nędzy, którego nie chciał przekraczać dostatni mieszkaniec śródmieścia. Ulica źle oświetlona, domy nieskanalizowane, cała dzielnica pozbawiona komunikacji tramwajowej — takie Powiśle, na które zapuszczać się w dzień nie było przyjemne, a wieczorem ani przyjemne, ani bezpieczne, pamiętamy wszyscy. A raczej nie wszyscy, bowiem wielu z nas wcale go wówczas nie znało.

Gdy Warszawa zbudziła się do nowego życia, jako stolica odrodzonej Rzeczypospolitej, okazało się, że jest od swej rzeki odcięta. Niestety, nie od razu wzięto się do odrabiania tego najboleśniejszego wykosławienia naturalnych tendencji rozwojowych miasta. Przeciwnie, w pierwszych latach rozwoju znów wolnej Warszawy dopuszczono się wielu nowych błędów, jeśli chodzi o Powiśle. Dopiero wysiłki lat ostatnich przyniosły odrodzenie Wisły dla Warszawy, Wisły, która przecież jest znowu i będzie

już na zawsze rzeką polską od źródeł aż po ujście do morza, a która, oby jak najprędzej, stanie się głównym fragmentem wielkiej drogi łączącej Bałtyk i Morze Czarne. Dopiero od paru lat zaledwie przywraca się brzeg wiślany — Wiśle.

W niedalekiej przyszłości, gdy powstanie park sportowy na Siekierkach, gdy odsłoni się perspektywa przez Kanał Piaseczyński na zrekonstruowany Zamek Ujazdowski, gdy na Praskim brzegu powstanie miasto wystawowe a na warszawskim — przeprowadzona Aleja na Skarpie — Wisła stanie się jedną z najpiękniejszych arterii stolicy. Tak jak dziś już została przywrócona miastu jako rezerwat zdrowia i radości.



Manteuffel: drzeworyt.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

Odpust św. Bonifacego w Czerniakowie

Czerniaków. Hej! dawne to dzieje. I nikt z grzebiących się w starych drukach i rękopisach nie dotarł dotąd do daty założenia tej ongiś dużej wsi mazowieckiej, a dziś przedmieścia stolicy. Początek Czerniakowa gubi się w pierwszych latach XIII stulecia; ozdobą zaś jego od lat prawie 250 jest kościół niewielki, piękne dzieło w stylu odrodzenia włoskiego, wybudowane przez Włocha Cameriniego. Świątynię tę pod wezwaniem św. Antoniego Padewskiego erygował w 1691 r. ówczesny właściciel Czerniakowa, marszałek wielki koronny, Stanisław Lubomirski, nabożny autor szeregu dzieł polskich i łacińskich. Dach kościoła kryty jest miedzią, a cmentarz kościelny opasany murem, który oceniają lipy i kasztany.

Zewnętrzna ściana kościoła mieści w sobie kilka murowanych kamiennych płyt pośmiertnych, z których jedna specjalne ma znaczenie, jako związana ze słynnym Maurycym Beniowskim, konfederatem barskim, więzionym przez

Rosjan w Kazaniu i na Kamczatce. Tam stanawszy na czele buntu więźniów, uwięzionego pomyślnym wynikiem, odpłynął Beniowski z Kamczatki, by wreszcie po niezwykle przygodach zginąć od kuli francuskiej, jako król Madagaskaru. Napis na czerniakowskiej tablicy brzmi:

*„Przechodniu, stań, czytaj i ty, gościu miły,
Zmów pacierz, idąc wedle tej mogiły.*

Tu leży Walenty Antoni Straszewski, rewizor policji, były kapitan w wojsku polskim, współtowarzysz niewoli znanego Beniowskiego w Kamczatce w r. 1771. Żył lat 72, umarł d. 2-go maja 1882“.

Do świątyni przylega dawny klasztor Bernardynów, zamieszkały teraz przez O.O. Zmartwychwstańców.

Do kościoła tego, pełnego majestatu, sprowadził z Rzymu 1694 r. hojny fundator jego, relikwie św. Bonifacego, męczennika z czasów Dioklecjana. Wspomina o tym Wacław Gąsiorowski w swoim „Interregnum“:

— A święty Bonifacy? — napierał jeszcze dzierzawca.

— Jako święty Paweł z Tarsu się wywodzi, może jednego z nim herbu. Marszałek Lubomirski przywiózł nam go i w Czerniakowie instalował... Tak... Lubomirski... Relikwie te umieszczono w szklanym sarkofagu w głębi głównego ołtarza. Niebawem poczęły krążyć wśród pobożnego ludu hymny i godzinki, ułożone przez bezimiennego wierszokletę. Jeden z tych swoistych wierszy zaczynał się słowami:

*„Dzięki Ci czynim, Boże niepojęty,
Ze nam się dostał Bonifacy święty,
Ze jest Patronem i wraz dla Warszawy
Wzorem poprawy“.*

Przed około dziesięciu laty relikwie św. Bonifacego były sprofanowane przez świętokradców, którzy sądząc, że korona jest złota, a nie połączona, skradli ją w nocy i porzucili potem na pobliskich łąkach czerniakowskich.

Już od ćwierć tysiąca lat śpieszą tutaj w maju na odpust św. Bonifacego tłumy wiernych z Warszawy i podstołecznych miejscowości; jedni dla modłów, drudzy w celu zachowania staropolskiej tradycji, inni wreszcie dla odpoczynku i rozrywki poza murami wielkiej i gwarnej stolicy. Bogatymi kolasami i karetami zjeżdżali tu ongiś, w to ciche ustronie, odpustowicze; skrzypiały też wozy drabiniaste, zamożnie wysłane; byli jeźdźcy na koniach; ludzie odświętnie wystrojeni zdążali ulicami, drożynami, miedziami pól i łąkami, które dotąd przylegają do kościoła i Czerniakowa, nie porzarte jeszcze przez cement rozbudowującej się stolicy. Płynęły ze sztandarami i ze śpiewem nabożnym procesje ludu.

Na takim odpuscie Kazimierz Brodziński, śpiewak Wiesława, poznał swą przyszłą towa-



Kościół św. Bonifacego w Czerniakowie.



Drzeworyt z broszury pt. „Nabożeństwo na cześć Boga i na honor S. Bonifacego męczennika“, wydanej w Warszawie 1863 roku.

rzyszkę życia. Fakt ten utrwalił w wierszu pt. „Czerniaków”:

„Weselna była pora majowa,
Na odpust szedłem do Czerniakowa;
Szły obok matek strojne dziewoje,
Szły i za nimi młodzieńców roje;
A ja sam byłem, bo dotąd strzała
Mojego serca nie dotykała”.

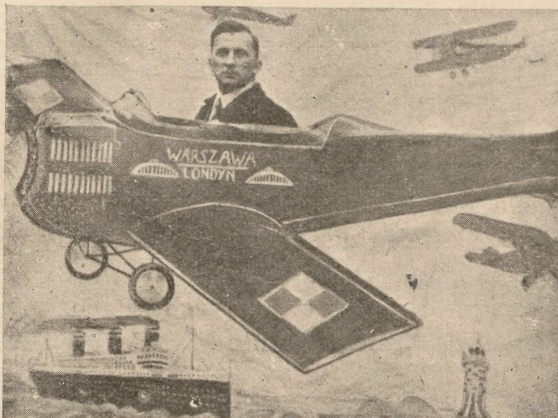
Po uroczystej sumie, odpawionej na dziedzińcu kościelnym przed obrazem św. Bonifacego, wysypuje się rój ludzi na plac przed kościołem. A tutaj pstrokaczna wszelaka: ludu i towaru; stragan przy straganie, kramarze zachęcają do kupna:

„Wybierać czekoladki z prezentami, po 5 groszy woła jednonogi sprzedawca. — „Co druga czekoladka zaopatrzona w karteczkę z napisem „gratis“. Jest karteczka, to jest premia. Nikt w niczym nie ryzykuje. W najlepszych smakach i dobrociach zjadamy czekoladkę firmy braci... Komu szczęście sprzyja trzy razy korzysta, czekoladkę zjada, szczęście bada i premię otrzymuje”.

A wokół zbita masa dziatwy; ta ma tu używanie za 5 groszy. Radości tu i nadziei pełna porcja. Ta sama cizba przy innych stoiskach, na których rozmaitość przedmiotów: wszelkie dewocjonalia, pomysłowe zabawki, jarmarczne broszury, świecidełka, korale, bransoletki, broszki, pierścionki, kolczyki, perełki, perfumy, scyzoryki, loterie, gdzie na przynętę przebiegły krupier wywiesił dwa zegarki kieszonkowe; aż oczy się iskrzą. A tłum się pcha, jeden ponad drugim rękę wyciąga, szuka wśród losów głównej wygranej, a czyni to z tym większym zaufaniem, że właściciel tej loterii zachęca: „Każdy los wygrany, przegranego nie ma, 10 groszy”.

A smakołyków tutaj, lukrowanych i malowanych, bezmiar i sterty: obwarzanki na

sznurki ponizane, strudelki zarumienione i ciastka przeróżnego autoramentu, pierniki różnych kształtów i ornamentów, cukierki we wszystkich kolorach tęczy, słodkie aż do mdłości, choć cukru nie widziały, o wiele bowiem wydatniejszą jest przemycana sacharyna; herbatniki na pieprz zesuszone; lody, ach! te lody nieznaney recepty, ale idą, nawet dobrze idą; ha! do odważnych świat należy... Osobiście stchórzyłem przed nimi, pewniejsze mi się wydały pestki z harbuzów.



Autor niniejszego reportażu na odpustowym samolocie...

Obok stolik aż się jarzy od kolorów jaskrawych, którymi pociągnięto figurki i figury z gliny: karzełki, chopeczyki, słonie. A to popiersie Kościuszki? jego wykarminowane usta? trupim bielidłem twarz pociągnięta, czarne jak heban brwi, a oczy? jak dwa ziarna śrutu. Istne curiosum. Żal mi Ciebie zacny Tadeuszu: nie spodziewałem się ujrzeć Cię w takim wydaniu, tu na odpuscie; niech im Pan Bóg odpuści...

A ludziska targują i kupują, tłoczą się, każdy chce z odpustu przynieść pamiątkę do domu, taki bowiem zwyczaj trwa tu od dwustu pięć-

dziesięciu lat... Piękny zwyczaj. Uszanowałem także tę dawną tradycję ojców.

Na lewo od kościoła, tuż przy parkanach urządzono kilka strzelnic. Strzelanie, to sport konieczny, potrzebny, narodowy. Kupuję pięć nabożów, właściciel nabija mi broń, biorę wiatrówkę do ręki, składam się, bęc! i flaszka prysła; drugi raz, bęc! znów szkło się sypie, i tak pięć butelek z wódki sprzątnąłem.

— Wyborowy z pana strzelec — wyrokuje właściciel strzelnicy, widocznie wysłużony podoficer.

— Chyba dlatego — powiadam — że strąciłem pięć butelek z wyborowej monopolówki...

Dla całokształtu niniejszego reportażu, podać należy, że zainstalowało się tu także kilku fotografów, wykonujących odbitki na poczekaniu. Oryginalne dekoracje, służące za tło, pociągają: tam las głęboki skąpany w słońcu, tu motocykl na szosie, a ówdzie samolot pasażerski, kursujący na linii Warszawa-Londyn.

Kochane nasze lotnictwo górą nawet na odpuscie św. Bonifacego. Tu obiektyw pracował najsilniej. Stąd poszło wiele pamiątek. Skusiłem się i... odważyłem się, bo w życiu nigdy na drzewie, ani na drabinie nie byłem, a gdy raz w czasie wielkanocnych porządków znalazłem się na stole i spojrzałem na posadzkę, nogi się pode mną ugięły..., w głowie zawirowało... Lecz samolot to nie stół na czterech chwiejnych nogach, to gwarancja, to opoka, na której spoczywa niepodległość państwa. Śmiało więc wsiadłem do tego skrzydlatego wozu, bez spadochronu, zrezygnowałem nawet z przywiązania pasem i poszybowałem, żegnając rozbawiony Czerniaków oraz śląc kornie z drogi powietrznej łaskawym czytelnikom „Stolicy” zamieszczoną tu pamiątkę z mego pobytu na odpuscie św. Bonifacego w dniu 14 maja bieżącego roku.

WIECZORY NA PRZEDMIEŚCIACH WARSZAWY

Wieczory zapadają. Śródmieście rozbłyska neonami, zapelniają się kina, cukiernie — wylega na ulice ożywiony świat śródmiejskiej Warszawy i płynie szeroką falą po asfaltowanych ulicach. Wszędzie pełno, życie wre.

Ten sam wieczór spada na zabłocone, wąskie wciśnięte w mury lub szerokie, polne ulice przedmieść. Jest ciemno.

Niektóre okna rozbyskają światłem, inne pozostają mroczne. Ustaje gorączkowa krzątania w domu, ciemność przecina tok zajęć. Pozostają długie, wolne godziny.

Szerokie, rozległe przedmieścia stanowią rozrastającą się stale część Wielkiej Warszawy. Ich rozwój stanowi o tym, że plama Warszawy na mapie wciąż się powiększa.

Ludzie przedmieść to bogaty, żywiołowy materiał ludzki, który zarobiony odpowiednim zacznym społecznym przemianą się w pożyteczny zespół wartościowych myśli i czynów. Rolę takiego zaczynu społecznego pełnią różne instytucje prywatne, samorządowe i państwowe. Niemożliwością jest w krótkich artykułach cyklu „Wieczory na przedmieściach” uwypuklić i oddać należne miejsce wszystkim działającym organizacjom. Z góry zastrzegam, że wiele z nich będzie pominiętych lub pokrzywdzonych.

Wina leży nie tylko po mojej stronie. Często działalność tych organizacji jest nieco egoistyczna.

Oto spotykamy takie paradoksy, że na jedną i tę samą matkę rodziny nastawiają się dwie lub trzy organizacje i w rezultacie zajmują jej wszystkie popołudnia. Nic dziwnego, wszakże interesują ją w równym stopniu szwalnia, wykłady z higieny, pokazy gospodarskie, kurs straganiarski lub przezrocza OPLG., wreszcie tani bilet do teatru lub kina.

Rezultatem starań o udoskonalenie matki rodziny jest to, że jej nigdy w domu nie ma...

Pragnę podkreślić, że przydałaby się większa konsolidacja terenowa pracy społecznej,

która usunęłaby z życia mieszkańców przedmieść konflikt: co wybrać — dom czy organizację? Z doświadczenia wiem, że nie można zajmować więcej, jak dwa popołudnia w tygodniu i że należy się orientować w całokształcie pracy na danym terenie tak, aby każdy mógł skorzystać z tej działalności, jaka mu odpowiada i jest potrzebna, a zarazem nie zaniedbał codziennych obowiązków domowych. Zajęcia powinny skupiać się głównie wieczorem od godz. 18-ej (gdy jest już ciemno) i trwać jednorazowo nie dłużej, jak 2 godziny.

Żoliborz pracuje społecznie. Główną bazą pracy społecznej na Żoliborzu jest X Ośrodek Zdrowia i Opieki Społecznej. Niezwykle pożyteczna instytucja Opiekunów Społecznych, zorganizowana przy Ośrodku działa czynnie i efektywnie. Praca Opiekunów rozgałęzia się w trzech kierunkach: 1) komisja młodzieżowa, 2) samopomocy, 3) dochodów niestałych.

Komisja młodzieżowa obejmuje życie młodzieży od niemowlęcia do jednostki samodzielnej. Organizuje żłobki (niestety brak funduszy nie pozwala na powiększenie liczby żłobków — istnieje tylko jeden). Opiekuje się młodzieżą w przedszkolach, szkołach powszechnych, doksztalających, uniwersytetach po-



Wieczory na przedmieściach.

wszechnych, młodzieżą praktykującą i pracującą zarobkowo itp. Celem tej komisji jest przygotowanie młodzieży do samodzielnego życia na drodze wyrobienia moralnego i wykształcenia zawodowego.

Komisja samopomocowa obejmuje życie dorosłych. Celem komisji jest uaktywnienie dorosłych wobec ich życia, żeby nie oczekiwali biernie na pomoc. Komisja samopomocy prowadzi między innymi szwalnię oraz kurs gospodarstwa dla matek rodzin robotniczych.

W szwalni petentki same szyją i reperują ubranie dla siebie pod fachowym kierownictwem.

Sekcja ta organizuje również doraźne uroczystości, jak: „gwiazdki”, „święcone” itp.

Kurs gospodarstwa obejmuje 20 lekcji — pokazów: przyrządzania potraw, urządzenia i utrzymania w porządku i czystości mieszkania, konserwację i reperację ubrania. Jako dopełnienie kursu została zorganizowana przez Związek Pań Domu wystawa mieszkania jednoizbowego.

Duża, jasno oświetlona sala, a na stole — całe gospodarstwo! „Jak na weselu” szepcą kobiety, patrząc na zastawiony stół. Siadają na wygodnych, ustawionych rzędami ławach.

Oto dowiadują się, że ich praca domowa jest trudna, wymaga umiejętności, rozumu, cierpliwości. Dowiadują się dalej, że troski codzienne, z którymi kryły się dotychczas w obawie przed wyśmianiem, mają miejsce wszędzie. Tak samo w tych dużych gospodarstwach, gdzie zdawałoby się, jak są pieniądze, to wszystkiemu można zaradzić, jak i w ich małych i skromnych. Jak oliwa na ranę wpadają do ucha słowa o tym, że praca w domu jest godna szacunku, bo trudna jest i odpowiedzialna. W czasie praktycznego pokazu uczą się, że z tanich produktów, które podawane są aż do znudzenia zawsze w jednakowej formie, można przyrządzić dużo różnorodnych potraw.

B. S.

ROMA MYSTKOWSKA

A O N A B Ę D Z I E T A K A...

Wrócił z biura śmiertelnie zmęczony, w głowie huczało, całe ciało było jak z waty. Nawet perspektywa niedzieli nie wpłynęła na lepsze samopoczucie. Zdawał sobie sprawę, że dłużej takiego tempa pracy nie wytrzyma. Biura projektów pracowały ponad siły. Wszyscy byli w najwyższym stopniu wyczerpani, ale zbliżający się termin wystawy mógłby zgalwanizować trupa, więc choć nerwy odmawiały posłuszeństwa, choć winy za jakieś opóźnienia, niedopatrzenia jeden zwał na drugiego, to jednak każdy zdobywał się na maksimum wysiłku. Za wszelką cenę trzeba było zdążyć.

Zjadł obiad i rzucił się na kozetkę. Odruchowo sięgnął po gazetę. Całe szpalty poświęcone były sprawie, nad którą pracowali jak szaleni. Zaklął soczyscie, posyłając wszystkich pismaków do stu diabłów.

— Cóż te draby wypisują „wszystkie projekty wykonane“, przecież połowy nie zdążyło się zrobić. Myślą, że to ich artykułiki — pół godziny i gotowe. Człowiek żył sobie wyprawa, a tén pisze „prace dobiegają końca“. W połowie są, psiakrew, wymyślał niefortunnemu autorowi artykułu.

— Weź te gazety, kładę się do łóżka, będę spał do jutra.

— Adasiu! bój się Boga. Nie ma się znów czego denerwować. A do łóżka się nie położysz, stwierdziła spokojnie żona, ba zaprosiła gości.

— Co słyszysz? To dziś? Nieszczęście! No trudno, nakryj mnie czymś, przedrzemnię się godzinę; tyle mego, pewnie do białego dnia trzeba będzie łupić w brydża. Pomysły to ja mam, ubolewał sam nad sobą, potrzebni mi są dziś goście, jak dyrektor na inspekcji, mrucał przypominając sobie gorzką pigułkę nagany.

Brydż przeciągnął się do rana. Świt zastał wszystkich przy stolikach. Gracze tak byli zajęci upartą obroną robra i wyczarowywaniem szlemika z oczywistej rozgrywki bez jednej, że nie zauważyli nawet, kiedy światło dnia zwyciężyło złoty blask żarówek. Otwarto drzwi balkonu. Chłodne, czyste powietrze ranka znechęciło uwędzonych w dymie papierosów graczy do wyrzucenia na świat.

Szeroka perspektywa praskiej Esplanady nie miała sobie równej. Rzędy drzew, ustawionych jak na paradzie, dążyły ku widnemu z Wisły Staremu Miastu. Jasne bloki domów wielkimi oczami ukwieconych okien patrzyły na soczystą barwność plantów, wilgotnych od rosy.

— Warszawa imponuje mi, która stolica może sobie pozwolić na takie szafowanie przestrzeni w sercu miasta, entuzjazmował się, mieszkający od niedawna w Warszawie Raciński.

— Naprzykład ta wasza najnowocześniejsza dzielnica mieszkaniowa, city i mury obronne 14 wieku — a wszystko w promieniu niemal kilometra. Istne czary!

— To nie wszystko! Jeśli chcecie przejeździemy się po najciekawszych ulicach, rzucił propozycję Adam.

— Dzielnica, w której mieszkamy ciągnie się niemal pod Żerań, a nasze bulwary nie ustępują najpiękniejszym w Europie. Praga to jedno cacko. Wyczekała się — to prawda, ale za to jest wytworem dojrzałych pomysłów.

Projekt przejażdżki przyjęto przez aklamację. Adam ustalił trasę. Dobrze wiedział jak jechać, żeby olśnić patrzących. Ileż to godzin spędził nad projektami, ilu wysłuchał gorących dysput, jak będzie najpiękniej, najużyteczniej, wreszcie najtaniej.

Jakże często musiano usuwać ten ostatni argument w trosce o urodę Warszawy, w serdecznej obawie, by oszczędnością nie zepsuć jej piękna.

Na rogu Żygmuntowskiej i Targowej zatrzymał auto.

— Macie — oto centralna ulica Pragi. Idę o zakład, że takiej ulicy handlowej nie znaj-

dziecie w żadnym mieście, mówił, wskazując szeroką, pełną zieleni Targową.

— Wieczorem byłby większy efekt, pożałował, cała świeci oknami wystaw i neonami szyldów. Teraz cicho — bo ranek i święto.

Ruszyli dalej. Na placu Weteranów kościół Świętego Floriana wynosił się ku niebu strzelistymi wieżami gotyku. Półkola gmachów zamykał plac kamienną cembrowiną murów. Minęli serpentynę pojazdów do mostu Marszałka. Ze świstem przemknęło metro. Wjechali na bulwar. Wisła w uścisku kamiennych obrzeży płynęła ieniewie pod łukami mostów. Trójkąt lśniącego asfaltu uciekającej drogi stroiły pasy kwiatników.

Raciński nie ustawał w zachwytach, a jego „wspaniałe“, „śliczne“ mile łechtało uszy Adama.

— A co nie macie w Mokotowie takich bulwarów! — dobijał entuzjastę Mokotowa młodego Czerwińskiego. — Najpierw trzeba mieć Wisłę — pysznił się. — Stałe wykłóca się ze mną o Mokotów — informował Racińskiego — i często mnie bije ale — oto mój as pikowy — śmiał się, wskazując Wisłę.

Minęli most przerzucony nad łachą portową. Zaczęły się tereny dawnej wystawy i przyszelej międzynarodowej. Jadąc, objaśniał — to muzeum, to szkoła rzemiosł, najnowsze warsztaty, tam w głębi, z wysoką kolumną, wspaniały pawilon sztuki...

Łagodną wyniosłością ślimaka wjechali w aleję Poniatowskiego. Zostawili za sobą Saską Kępę, aleję Zieleniecką z kompleksem reprezentacyjnych gmachów, z których każdy wart był oddzielnego zwiedzenia, cienisty park Paderewskiego, rondo uświetnione obeliskiem i szeroką, prostą jak strzała aleją Waszyngtona jechali ku Olszynie Grochowskiej, mijając rozległe tereny sportowego parku.

Dla oglądającego pierwszy raz Pragę Racińskiego wrażenie było imponujące.

— I powiada pan — zwrócił się do Adama — że to sprawa ostatniego dziesięciolecia-Zdumiewające!

— A tak, dzięki wystawie nabraliśmy takiego rozpędu. Cała uwaga została skierowana na Pragę.

— Przecież to gigantyczny wysiłek! Skąd pieniądze?

— Cała Polska dawała na to. Tylko dlatego mamy taką stolicę. Barki warszawiaków nie udźwignęłyby ciężaru.

— No widzę, że jesteście dostatecznie olśnieni, więc możemy wracać — roześmiał się. — Schowałem panu na koniec kropkę nad i... plac przy zbiegu Grochowskiej, Targowej i Zielenieckiej — mówił, skręcając w Grochowską — ale jeszcze przedtem pochwałę się przed wami bulwarem nad łachą Skaryszewską, przypominał sobie jak wyczarowany z bajek obraz. Świątynia otoczona krągankiem, gdzie snem wiecznym spoczywał Jasiński, odbijała się w wodnej tafli. Z drugiego brzegu kornie schyłone wierzyby parku Paderewskiego kloniły przed nią wiotkie gałęzie. Owiani czarem widoku wjeżdżali na plac.

Obiecana przez Wolskiego kropka nad i.... rzeczywiście wieńczyła dzieło. Rozwiązanie placu mogło zaimponować nie tylko laikom, nie jeden urbanista ronił tu niewczesne łzy i wzdychał w violinie, że nie jemu przysporzyło sławy.

Gwałtownie zahamował przed wysokim obeliskiem...

Otworzył oczy. Zamiast kierownicy ścisnął kurczowo róg pledu. Roześmiał się trzeźwiejąc, z nielogicznego żalu, że nie zdążył pokazać terenów dworca wileńskiego. W projektach tak pięknie wyglądały.

Ot jest przyczynek do teorii snów. Nabity planami mózg realizuje w sennych majakach rysunki, a róg pledu służy za kierownicę samochodu. Na to nie trzeba być Freudem — jasne jak dzień.

— Wstałbyś, Raciński będzie pierwszy raz, trzeba go lepiej przyjąć, a ja na tej twojej Pradze nic nie mogę dostać — zaskrzeczała mu rzeczywistość — miłym skądinąd głosem żony.

— Musisz jechać do Warszawy.

Do Warszawy... po kawalek łososia, trochę wina i kilka sig, po takim śnie — o ironio — westchnął.

— Poślij na Targową. Cóż tam za sklepy, luksus, wspaniałość. Kuryluk na Nowym Świecie — drobiazg, Pakulscy — dziura.

Spojrzała na niego jak na nieszkodliwego wariata.

— Wcale nie jestem usposobiona do żartów. Za pół godziny będę ich tu miała wszystkich — a ty leżysz i pleciesz głupstwa.

Za chwilę, potykając się o kocie łby, rwał do taksówki. Jednak jazda i oglądanie pierwszych jaskółek zmian na Pradze nie ominęło go. Tymczasem to tylko asfalt na Inżynierskiej, gmach dyrekcji kolejowej, nowe latarnie Żygmuntowskiej i pierwsze ćwierćkole placu Weteranów, wyliczał sobie, pocieszając się po pięknej wizji.

— Co to stoimy?

— A stoimy, proszę pana, zator — stwierdził flegmatycznie kierowca. Lepiej było przez most Poniatowskiego, choć to dalej, ale pewniejszy dojazd. Wczoraj stałem, proszę pana, równe 20 minut, informował niecierpliwie pasażera.

Wspaniałe łuki mostu z poobiedniej drzemki, długoż jeszcze pozostaną w sferze marzeń? Most Kierbedzia, wysłużony staruszek, nie może podołać obowiązkowi. Nie łączy — a dzieli ćwierć milonową Pragę od Warszawy.

Przerwał medytację.

— Placę, przyjacielu. Jeśli mnie dogonicie za mostem — to dobrze, a jeśli nie — muszę wziąć drugą taksówkę. Nie mogę się spóźnić — tłumaczył się stratnemu w tej transakcji kierowcy.

Przeszedł przez kratownicę mostu na przejście dla pieszych i popędzany falą ludzką wylądował na drugim brzegu.

PRZEDSIĘBIORSTWO
ROBÓT BUDOWLANYCH

»FILAR«

EDMUND PIOTROWSKI
BUDOWNICZYWARSZAWA, ELSTERSKA Nr 4
TEL. 10-02-70.FABRYKA LAKIERÓW
F A R B I E M A L I I
SP. Z OGR. ODP.

AVIA-CELLON

WARSZAWA
UL. SYRENY 4. TEL. 2.68-94, 3.44-94

KŁANIAMY SIĘ NIEBOSZCZYKOM

Mieszkańcy Warszawy prawobrzeżnej, przezwanej Pragę, spieszący przez most Kierbedzia do śródmieścia — mają miłą sposobność rozkoszować się widokiem Wisły i panoramy Starego Miasta.

Obok tej codziennej przyjemności bratania się z najładniejszymi perspektywami Warszawy, szczęśliwi Prażanie, podążający pieszo ulicą Zygmuntowską ku Kolumnie Zygmunta, obarczeni są jednak melancholijnym obowiązkiem żegnania nieboszczyków, odbywających swą ostatnią wędrówkę z Warszawy lewobrzeżnej na cmentarz Bródziński.

Obowiązek ten nie byłby tak uciążliwy, gdyby nie tak zasmucająca ilość karawanów pogrzebowych, sunących nieprzerwanie przez

most Kierbedzia na Pragę. Wobec zapełnienia cmentarza Powązkowskiego, większość mieszkańców stolicy, po ukończeniu życiowej wędrówki, znajduje bowiem swój wieczny odpoczynek na wzgardzonej Pradze.

Ilość konduktów pogrzebowych, podążających jeden za drugim piękną ulicą Zygmuntowską jest zmienna, gdyż zależy od pór roku: wiosną i jesienią jest ich najwięcej, bo na przełomach ciepłej i mroźnej pory najwięcej ludzi choruje i umiera. Zimą i latem, można przejść od dworca Wileńskiego do Krakowskiego Przedmieścia bez potrzeby uchylenia kapelusza prze dczarną trumną starca lub srebrzystą — obywatela zmarłego w kwiecie wieku. Za to wiosną i jesienią prażanin, spieszący do śródmieścia, nie chcąc fatygować się usta-

wicznym kłanianiem nieboszczykom, może śmiało nieść swój kapelusz pod pachą — tak wiele napotyka na swej drodze karawanów pogrzebowych...

Z czasem obywatele Warszawy prawobrzeżnej przyzwyczajają się do tego smutnego obowiązku żegnania głębokim ukłonem zmarłych współobywateli, odbywających swą ostatnią wędrówkę i widok karawanów pogrzebowych nie czyni już na nich głębszego wrażenia. Tym nie mniej jednak prażanie dumni są ze swego przywileju składania ostatniego pożegnania, za pomocą uchylenia kapelusza, zmarłym współobywatelom, z których wielu za życia stroniło być może od mało reprezentacyjnej Pragi.

EUGENIUSZ ŚWIERCZEWSKI

Teatr Warszawski w latach 1825—1915

Związek Artystów Scen Polskich zainicjował obecnie doniosłą akcję wydawniczą, którą podjęło Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych we Lwowie, mianowicie akcję wydawania cyklicznej biblioteki teatralnej pod nazwą „Wiedza w teatrze”.

Biblioteka ta, redagowana przez Tymona Terleckiego i pojęta jako rodzaj encyklopedii najwybitniejszych zjawisk teatralnych z uwzględnieniem szczególnym historii sceny polskiej, — stać się powinna podstawową lekturą przede wszystkim ludzi sceny, jej krytyków i adeptów, eksternów szkół dramatycznych, a dalej młodzieży licealnej, studentów humanistyki i wszystkich tych, którym zjawiska kultury nie są obojętne.

W Komitecie redakcyjnym wydawnictwa — poza d-rem Terleckim — zasiadają 3, tak świetni znawcy teatru, literatury i historii sceny — jak Leon Schiller, prof. Julian Krzyżanowski i Mieczysław Rulikowski.

Jak dotychczas ukazało się 5 tomów cyklu „Wiedzy o teatrze”, a mianowicie: „Teatr Warszawski” od czasów Osińskiego w latach 1825 — 1915, przez Mieczysława Rulikowskiego; „Teatr Krakowski pod dyktando Koźmiana” przez Adama Bara, studium o „Meiningenczykach” Wiktora Brumera; studium o „Teatrze Wagnera” Karola Stromengera i „Zagadnienia socjologii teatru” Aleksandra Hertza.

Nas na tym miejscu interesować będą przede wszystkim dwie prace, dotyczące teatrów polskich, a mianowicie praca Rulikowskiego i praca Bara.

Praca Rulikowskiego, omawiająca 90-lecie teatrów Warszawskich w latach 1825 — 1915 jest pierwszym i jednym dotąd opracowaniem dziejów sceny polskiej zawodowej, powstałej w r. 1765, a istniejącej w Warszawie w latach 1822 — 1915 jako „Teatr Rządowy”.

Wśród studiów Rapackiego, Kotarbińskiego, Lorentowicza, a z młodych Simona, Brumera, Korzeniowskiego i innych, wśród pamiętnikarskich materiałów Owerły i innych — książka Rulikowskiego zajmuje się — bodaj po raz pierwszy — tak obszernie stroną prawnoustrojową teatru Warszawskiego pod rządami zaborców.

Jest to niezwykle ważny punkt widzenia — jeżeli weźmiemy pod uwagę rolę teatru Warszawskiego jako instytucji społecznej, artystycznej, a przede wszystkim narodowej w dobie niewoli, instytucji o niezwyklej wadze dla życia narodowego. Nie należy przecież zapominać, że w ciągu tych 100 lat niewoli teatr Warszawski specjalnie odgrywał w życiu polskim

rolę placówki żywego słowa i żywego ducha polskiego. Oddziaływanie na masy słowami wielkiej poezji polskiej czy obcej, talentami wielkich polskich geniuszów sceny — tam właśnie, na scenie Warszawskiej najświetniejszy i najpełniejszy znajdowały wyraz. Stąd płynie ten kult dla teatru, jaki się rozwijał latami w dawnej Warszawie, stąd to umiłowanie aktorów, jako nosicieli żywej polskiej mowy, tępojęj oficjalnie przez moskali, stąd to zestawianie teatru z kościołem, bowiem tylko w świątyni i w teatrze rozlegało się swobodnie polskie słowo. Stąd ten stygmat niemal kapłaństwa sztuki, jakim wieńczono naszych wielkich koryfeuszów sceny warszawskiej.

I dlatego właśnie dzieje teatrów Warszawskich — to częściowo dzieje polityczne Polski pod zaborem rosyjskim, to wycinek historii, na którym sztuka polska wygrywała latami całymi wojny i walki z zaborcą o dusze polskich widzów.

Teatry warszawskie to były te jedyne instytucje, których zaborca w ciągu 100 lat nie zdołał zrusyfikować, których nie śmiał tknąć, nie śmiał zawiesić działania tych niegasnących ognisk polskości, nie odważył się wprowadzić języka rosyjskiego na polską scenę do teatru Warszawskiego.

Rulikowski — bodaj po raz pierwszy w naszej literaturze teatrolologicznej — kreśli przede wszystkim sylwetki kierowników teatru warszawskiego owej stuletniej epoki, jego prezesów, dyrektorów, czy reżyserów, którzy wpływali na losy instytucji, a przez swe różnorakie indywidualności wyciskali piętno na jej formach artystycznych. Autor celowo i programowo pomija sylwetki poszczególnych aktorów i „gwiazd” polskiej sceny, opracowane już wielokrotnie, daje natomiast ogólną charakterystykę polskiego aktora na tle jego wytrwałej służby sztuce, społeczeństwu i Polsce.

Przesuwają się w książce Rulikowskiego sylwetki tych prezesów — rosyjskich generałów i pułkowników, Różnieckiego, Rautenstraucha, Abramowicza, Haukego, Muchanowa, Wsiewołodzkiego, Gudowskiego, Palicyna, Karandiejewa, Andrejewa, Iwanowa, Herschelmana aż do Małyszewa i Burmana, przewijają się sylwetki dyrektorów i reżyserów: Osińskiego, Halperta, Folanda, Dmuszewskiego, Jasińskiego, Tatar-kiewicz, Sliwińskiego aż do Śliwickiego i Sol-skiego, — aby się urwać na r. 1915, tj. przed blisko ćwierćwiekiem, gdy rosjanie opuścili raz na zawsze Polskę, pozostawiając wreszcie rządy sceną warszawską wyłącznie polakom.

Jak w kalejdoskopie mkną sylwetki „rząd-

ców” teatru na tle obyczajowym i anegdotycznym, tle, zresztą zarysowanym niezwykle rzeczowo i oszczędnie — w granicach niezbędnej konieczności.

W tym 90-leciu teatru Warszawskiego, jakie namalował Rulikowski tak i żywo interesująco, zastanawia przede wszystkim ten nieprzerwany łańcuch wysiłków organizacyjnych i artystycznych, jakiego dokonywali stopniowo właściciele kierownicy artystyczni i reżyserowie, aby utrwalić byt polskiej placówki sztuki, jedynej trybuny ducha narodowego w czasie niewoli. Żadne zamachy, żadne usiłowania nie przerywały tej wytrwałej pracy, tej ofiarnej działalności polskich reżyserów i artystów, znakomicie podtrzymywanych w swych dążeniach przez polską opinię, a przede wszystkim krytykę i prasę, która ich pracy właściwą nadawała miarę i rezonans, celowo i programowo wyolbrzymiając ją i jej rezultaty na łamach pism warszawskich.

DOM HANDLOWY

A. ROBOWSKI

S-cy L. ROBOWSKA i S-ka

w Warszawie, ul. Złota 3, tel. 662-94.



Płaszcze — fartuchy biurowe, lekarskie, sklepowe, gospodarskie i szkolne. Kombinezony, szoferskie, ubrania robotnicze, płaszcze i peleryny brezentowe i gumowane.

Własne pracowni. Hurt i detal.

TORUŃSKI MŁYN PAROWY LEOPOLD RYCHTER

w TORUNIU

Sp. z ogr. odp. w Toruniu

Oddział w Warszawie, Moniuszki 7 m. 4. Tel. 506-90, 203-18

POLECA:

MAKI PSZENNE i ŻYTNIE DOSKONAŁEJ JAKOŚCI

KAZIMIERZ KAZIBET WARSZAWA, Chmielna 34

Poleca własnej wytwórni walizy, nesesery, teki korespondencyjne, teki dla woźnych, artykuły wojskowe. Filij nie posiadam. Ceny fabryczne.



WARSZAWSKA FABRYKA USZCZELNIEN

wł. JAN CZYŻ i F. STELMOWSKI — SPÓŁKA JAWNA

Warszawa, Skierniewicka 5. Telefon 212-88.

USZCZELKI DO SAMOCHODÓW, SAMOLOTÓW i DO WSZYSTKICH SILNIKÓW SPALINOWYCH: MIEDZIANO-AZBESTOWE, OŁOWIANE, FIBROWE, KORKOWE, VELLUMOIDOWE i INNE.

JAN CZYŻ

NOWY GMACH ELEKTROWNI MIEJSKIEJ

W sobotę dnia 10 czerwca br. odbyło się poświęcenie gmachu administracyjnego Elektrowni Miejskiej przy ul. Wybrzeże Kościuszkowskie nr 41, róg Tamki.

W poświęceniu wzięli udział między innymi wice-ministre P. i H. Adam Rose, wojewoda Jaroszewicz, oraz w imieniu Prezydenta Miasta — wiceprezydent Kulski. Poza tym przybyło szereg osób spośród wyższych władz miejskich oraz świata elektrotechniki.

Po poświęceniu gmachu, którego dokonał ks. prałat Żelazowski odbyła się dekoracja 119 pracowników Elektrowni medalami 10-cio i 20-lecia pracy w samorządzie.

Ostatni udekorowany został przez pana wiceprezydenta Kulskiego naczelny dyrektor Elektrowni — minister A. Kühn.

Część zaproszonych gości w trakcie dekoracji pracowników udała się na zwiedzanie gmachu.

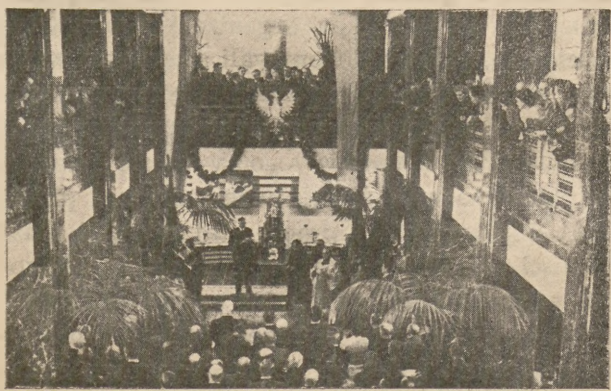
W czasie uroczystości śpiewał chór pracowników Elektrowni oraz przygrywała orkiestra jednej z organizacji pracowniczych.

Szkicowy projekt gmachu wykonał inż. arch. Czesław Jabłoński, a opracował go i kierował robotami budowlanymi inż. arch. J. Korszyński.

Gmach administracyjny Elektrowni Miejskiej o 4 kondygnacjach posiada fasadę długości 130 metrów. Jest to budowla nowoczesna o żelbetonowej konstrukcji szkieletowej.

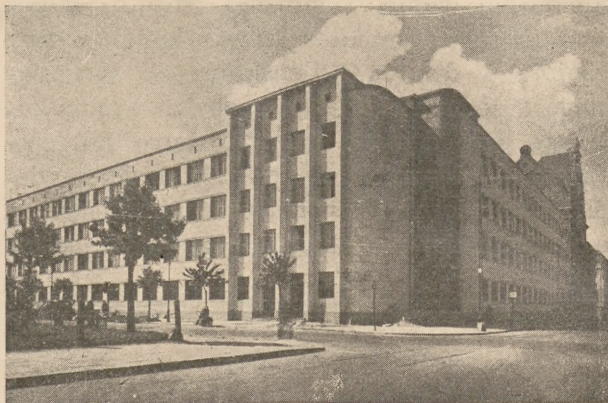
O rozmiarach budynku świadczy jego objętość przekraczająca 32 tys. metrów sześciennych. Cokół gmachu jest wykonany z granitu krajowego, a licość z płyt piaskowca. Salę operacyjną wyłożono płytami z marmuru krajowego.

Zewnętrznym elementem dekoracyjnym gmachu jest trzypiętrowa szklana ściana klatki schodowej.



Będzie ona oświetlona w niedziele i święta, stanowiąc świetlną dekorację Powiśla, szczególnie efektownie się prezentującą od strony Wisły.

Z urzędzeń zasługujących na specjalną uwagę wymienić należy instalację centralnego ogrzewania wodnego. Wykorzystana jest w tym wypadku gorąca woda ogrzewana parą w kotłowni Elektrowni i dostarczana do budynku rurami podziemnymi.



Gmach jest całkowicie zelektryfikowany i np. w umywalniach zastosowano m. in. zamiast ręczników specjalne elektryczne suszki do rąk.

Przy budowie gmachu uwzględniono w szerokim stopniu wymagania O. P. L., m. in. urządzono schrony.

Obszerny dziedziniec rozplanowano estetycznie. Pokryty on będzie trawnikami i klombami kwiatów.

Godne podkreślenia jest szybkie tempo budowy. Gmach wykończono całkowicie w ciągu około 1½ roku, mimo, że prace szczególnie przy palowaniu fundamentów wymagały dużego zachodu. Roboty prowadzono również w sezonie zimowym, by przyczynić się w ten sposób do zmniejszenia bezrobocia. Zawczasu wykonano centralne ogrzewanie oraz oszkłono gmach, dzięki czemu można było w sezonie zimowym prowadzić roboty budowlane wewnątrz budynku.

Wszystkie większe przedsiębiorstwa miejskie w Warszawie posiadają własne gmachy. Nie miała go dotychczas tylko Elektrownia, która do końca 1934 r. była administrowana przez koncesjonariusza.

W okresie ostatnich 4-ch lat Elektrownia znacznie rozszerzyła swoją działalność, o czym świadczy chociażby zwiększenie liczby odbiorców ze 187 do 260

tysięcy oraz zwiększenie spożycia energii elektrycznej. Powstały nowe działy jak np. wydział inwestycyjny, dział propagandy grzejnictwa dla celów gospodarstwa domowego, biuro zmiany napięcia, referat O. P. L., dział personalny itp.

Dotychczas biura Elektrowni mieściły się w lokalach wynajętych w domach prywatnych i były rozrzucone w 4-ach punktach miasta. Zespoleńie tych biur w jednym miejscu da oszczędność na czasie w załatwianiu różnych spraw oraz zwiększy sprawność pracy.

Niezależnie od wykończenia gmachu administracyjnego Elektrowni Miejskiej w pełnym toku są prace budowlane przy nadbudowie i zmianie fasady innych budynków Elektrowni od strony Wybrzeża.

W przebudowie jest rozdzielnia, która otrzymała wysokość 4 kondygnacji zamiast dawnych 2-ach. W najbliższym czasie rozpocznie się podwyższenie do tej samej wysokości parterowego budynku tłoczni wody, oraz budowa narożnika mieszkalnego na rogu ul. Leszczyńskiej. Między budynkami jeszcze w roku bieżącym stanie estetyczny parkan z dekoracją kwietną.

Na odcinku Wybrzeże Kościuszkowskiego od ul. Leszczyńskiej do Lipowej wybudowana będzie wielka rozdzielnia dla współpracy z Elektrownią na Żeraniu.

W dalszym etapie prac przewidziane jest wyrównanie do 15 metrów gabarytów narożnika od Tamki i budynku technicznego. Wtedy wszystkie budynki od strony Wisły będą miały jednakową wysokość i będą utrzymane w jednym charakterze, stanowiąc estetyczny fragment dzielnicy nadbrzeżnej.



O TĘŻYZNĘ LUDNOŚCI WIELKOMIEJSKIEJ

Ludność wielkich miast podupada na zdrowiu i karleje, oto alarmujące hasło, które zmobilizowało wokół tej sprawy uwagę czynników państwowych i społecznych. Sprawa ta nabiera odpowiedniej wyrazistości, gdy uprzytomnimy sobie, że w miastach polskich żyje już dziś 25% naszej ludności i że odsetek ten, wiążąc się z procesami intensywnego uprzemysławiania kraju, wykazuje tendencje do dalszego szybkiego wzrostu.

Od końca XIX stulecia i w początkach XX wieku, urbanizacji, świat lekarski i działacze społeczni, gromkim głosem zaczęli się dopominać z katedr uniwersyteckich, izb parlamentarnych i szpał prasy o stosowanie w planowaniu miast i w budownictwie — wymagań higieny. Zdobyczą tego okresu są w miastach parki i zieleńce, szerokie ulice umożliwiające dostęp słońca i świeżego powietrza do mieszkań, upowszechnienie kanalizacji i wodociągów oraz wiele innych zdobyczy, mających na celu zapewnienie lepszych warunków higienicznych i sanitarnych ludności wielkomiejskiej.

Stopień śmiertelności ludności wielkomiejskiej, jest dzisiaj bez porównania niższy, niż miało to miejsce lat temu kilkaset, lub choćby nawet kilkadziesiąt. Przeciętna długość życia ludzi zamieszkujących w miastach, wykazuje tendencję do dalszego wzrostu, ciągle jednak jest jeszcze bardzo odległa od względnej doskonałości. Aby cel ten osiągnąć przyjąć muszą z pomocą wczasy pracownicze. Spełnią one swe wielkie zadanie jedynie wówczas, gdy korzystać z nich poczną szerokie rzesze pracowników najemnych, robotników i ludności rzemieślniczej.

Zdobyte higieny i medycyny zapobiegawczej są już dzisiaj imponujące choć dalekie jeszcze od górnego kresu swych możliwości, przede wszystkim ze względu na stosowanie ich w odniesieniu do stosunkowo nielicznej części ludności. W ostatnich 50 latach życie ludzkie przedłużone zostało, przeciętnie o 15 lat. Te wyrwane śmierci 15 lat życia ludzkiego, to potężna oszczędność w każdym pokoleniu wysiłku fizycznego

i intelektualnego człowieka, to możność szerszego wykorzystania, nagromadzonego w duszach i mózgach ludzkich kapitału myśli, uczuć i wiedzy.

Dziś do walki o zachowanie zdrowia i przedłużenie człowiekowi życia, rzucone zostały nowe rezerwy obronne. Są to słońce, woda i zdrowe powietrze naszych pól i lasów. Chodzi o to, aby je udostępnić najszerzszym masom ludności wielkomiejskiej.

Wysiłek zmierzający do spopularyzowania idei wczasów pracowniczych, wśród naszej ludności, wart jest każdego trudu i nakładu.

Wczasy bowiem pracownicze, to zdrowie i radość, oraz skuteczne przeciwdziałanie chorobie.

Zagadnienie wczasów pracowniczych sprowadza się do sprawy zazwyczaj parotygodniowych wypożyczek urlopowych i krótszych wypożyczek świątecznych.

Obserwacje poczynione na terenie zagranicznym wskazują na to, iż sprawa ugruntowania idei wczasów pracowniczych, przebiega niejako w 2-ach fazach. W pierwszej potrzebna jest silna propaganda, unaoczniająca pracownikom korzyści tej akcji dla ich zdrowia i wydatna pomoc organizacyjna, powołanych w tym celu przy współudziale bądź poparciu państwa — czynników. W drugiej fazie propagatorami akcji wczasów oraz jej inicjatorami i organizatorami w nowym środowisku stają się sami pracownicy, zdolni na podstawie własnego doświadczenia należycie ocenić wielkie korzyści, jakie dla ich zdrowia stanowi racjonalne spędzenie czasu w ciągu dłuższych — urlopowych i krótszych świątecznych przerw w pracy.

Powołując się, na przykład pomyślnego rozwiązania sprawy wczasów pracowniczych w państwach zachodnio-europejskich, nie będziemy szkicowali zasad i szczegółów organizacyjnych tej akcji zagranicą. Kieruje nami bowiem głębokie, dające się dostatecznie uzasadnić przeświadczenie, iż racjonalna organizacja wczasów pracowniczych w Polsce, dla pracowników najemnych zarówno umysłowych jak i fizycznych i rzemieślników, nie dopuszcza jakiegos ślepego

nieliczącego się z naszymi warunkami naśladownictwa wzorów obcych, lecz przeciwnie uwzględnić musi całokształt tych warunków, pomiędzy którymi na czoło wysuwa się: poziom zarobków pracowniczych, warunki terenowe — pod względem możliwości turystycznych, campingowych i wycieczkowych, względny komunikacyjny i szereg innych.

Słońce, woda i powietrze, jak to już wyżej powiedziano, to najważniejsze elementy, zapewniające człowiekowi siłę, radość i zdrowie. Elementów tych nie dostaje człowiekowi wielkiego miasta. Nie wydaje się zbyt ryzykownym twierdzenie, że ludność miejska w Polsce w perspektywie najbliższych paru dziesiątków lat prześcignie liczbowo ludność wsi.

Problem wczasów i wypożyczek pracowniczych daleko dziś wybiega po za interes jednostkowy obywatela, wiążąc się zaś z zagadnieniem prężności i dynamizmu społecznego — sięga do samej głębi interesów Państwa.

J. K.

**KONCESJONOWANE BIURO
URZĄDZEŃ ELEKTRYCZNYCH**

K. SENT

WARSZAWA, WSPÓLNA 57. TEL. 934-11

**NARZĘDZIA DO OBRÓBK
M E T A L I**

R. STOCK Co

MAX BALZ SP. Z O. O.

WARSZAWA, UL. ŻABIA Nr 9

TEL.: 6-01-60. 2-30-34. 3-30-61.

WYDAWNICTWO PRACOWNICZEJ KOMISJI SAMOPOMOCY SPOŁECZNEJ w MIEŚCIE STOŁECZNYM WARSZAWIE.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA -- ul. Koszykowa 9, tel. 7-26-31. REDAKTOR z ramienia P. K. S. S. Roman Zrębowicz.

CENA ZA EGZEMPLARZ 25 GR.

F.V-P103